



## Rocznica wybuchu wojny przeciwko Ukrainie – migawka z Wrocławia

Tekst i zdjęcia:  
**PIOTR GAGLIK**



W rocznicę napaści Federacji Rosyjskiej na Ukrainę, 24 lutego 2023 zebrał się Polacy, Ukraińcy, Białorusini i przedstawiciele innych narodów przed ratuszem wrocławskim. Przed godz. 16 przy prężeniu trwała już manifestacja organizacji pomocowych działających na rzecz Ukrainy wspierana muzyką młodych kapel ukraińskich, natomiast główna uroczystość o charakterze oficjalnym, państwowym i samorządowym rozpoczęła się przed Sukiennicami po drugiej zachodniej stronie ratusza. Przybyli konsulowie generalni Ukrainy i Niemiec oraz wicekonsul Węgier.

Minuta ciszy przypomniała zbranym, że ta wojna zbiera krwawe żniwo. Zawsze jednak, gdy wciąż się na maszt flagę przy dźwiękach hymnu narodowego, ma się niemal pewność, że naród i państwo trwa. „Szczę ne zmerla Ukraina” wybrzmiała w obecności kilkusetosobowej grupy głównie młodych Ukraińców. Następnie orkiestra policji wrocławskiej odegrała hymn Polski i Unii Europejskiej.

Jakub Mazur, wiceprezydent Wrocławia przypomniał o wkładzie wrocławian w pomoc sąsiadom zza wschodniej granicy. W dramatycznych dniach koń-

ca lutego i marca 2022 r. przybyło przeciw blisko 150 tysięcy Ukraińców. Mieszkańcy, władze samorządowe i wojewódzkie podjęły ten humanitarny i solidarny wysiłek. Do dramatu ucieczki przed wojną, do bohaterskiej obrony Ukrainy, do woli niesienia pomocy w obliczu nieszczęścia, jak również do rosyjskich zbrodni wojennych nawiązały wszystkie przemówienia, w tym konsula generalnego Yurija Tokara oraz wojewody dolnośląskiego Jarosława Obremkiego i wicemarszałka sejmiku dolnośląskiego Marcina Krzyżanowskiego.

Warto przywołać wzruszające słowa przewodniczącego wrocławskiego oddziału Związku Ukraińców w Polsce, Ihora Salamona, a także wypowiedź Janusza Cieszyńskiego, sekretarza stanu w ministerstwie cyfryzacji. Obie miały wydźwięk osobisty. Wrocławianin Salamon zwrócił się do zebranych w ojczystym języku słowami ukraińskiego poety. Przerwał, gdy głos ze wzruszenia mu się załamał, ale oparował się i przypomniał po rosyjsku dziewiętnastowieczny pogląd wielkorosów: „Ukrainy nie ma, nie było i nie będzie.” Swój

protest wypowiedział po polsku, nawiązując do barbarii moskiewskiej wobec narodu broniącego najwyższych wartości – wolności i niepodległości. Podziękował Polsce, mieszkańcom Wrocławia, samorządom i władzom państwowym za pomoc i gościnę dla tysięcy jego rodaków. Zakończył przemówienie znanym dzisiaj wszystkim wezwaniem – Sława Ukrainie! Odpowiedziały mu setki ukraińskich głosów – „herojam sława”.

Drugi wrocławianin, reprezentujący na uroczystości rząd Rze-

Dokończenie na str. 2 ▶

### „W cudzych domach”



Niemieckie zachwyty nad książką Karoliny Kuszyk nie mogą dziwić. Już jej tytuł przecież sugeruje, że Polacy z tzw. Ziemi Odzyskanych mieszkają „w cudzych domach”. Czyli jakby „nie są u siebie”. A tytuł to dopiero początek tych obrazków Polski i Polaków, których Niemcy takną najbardziej.

s. 2

### Święty Józef



Wiodąca historia w filmie, nie została przedstawiona jeden do jednego. Jak mówi mój kolega reżyser: została zanonimizowana. Każdy kto widział film zapewne domyśla się z jakich względów. Ta historia wydarzyła się na moich oczach i stała się inspiracją do stworzenia filmowej, rozpadaającej się rodziny Kordeckiej.

s. 4

### „Nigdy z królami nie będziem w aliansach...”



Pieśń Konfederatów Barskich autorstwa Juliusza Słowackiego z dramatu „Książę Marek” oddaje ducha jakim kierowali się polscy patrioci, którzy w lutym 1768 r. zawiązali w Barze na Podolu konfederację „na ratunek Ojczyzny, Wiary i Wolności praw i swobód narodowych do upadku nachylonych”.

s. 8

### Każdy człowiek zasługuje na kawałek spokojnego nieba



Wiadomo, dzieci w szkołach udają się do piwnic i do specjalnie przystosowanych pomieszczeń. Przychodnie, sklepy i banki przestają pracować, ale jeżeli zaczyna się alarm we Lwowie jest to nic w porównaniu z alarmem na przykład w Chersoniu, Charkowie czy Zaporozu.

s. 10

### Nadzieja w młodym pokoleniu



Krzysztof Marszałek, wspominał, że były minuty, gdy ukrywający się ojciec spotykał się z rodziną. On nie miał tej świadomości i bał się, chował się pod łóżkiem przed tym przebraniem, obcym człowiekiem. Wspominał, że przez lata na pytanie o tatę bez wahania odpowiadał: był kolegą, który zginął przed wojną.

s. 16

Dokończenie ze str. 1 ►

czypospolitej, Janusz Cieszyński nawiązał do wypowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego oraz do etosu Solidarności Walczącej, która na wiele lat przed obecną wojną, jeszcze w PRL, upomniła się o wolność Ukrainy. Z uwagi na dorobek ideowy SW godzi się odnotować, że na Rynku wrocławskim powiewały nie tylko flagi polskie i ukraińskie, lecz również czerwono-białoczerwone flagi niepodległej i demokratycznej Białorusi, a także Tatarów krymskich i Litwy, a nawet Niemiec. Wzruszenie ogarnia, gdy się widzi dowód Solidarności w nowym wymiarze – sfatygowaną flagę czerwono-białoczerwoną z Pogonią księstwa połockiego, przemycaną przez granicę przez wolnych Białorusinów, a wzniesioną przez nich na wrocławskim Rynku w rocznicę napadnięcia Rosji na Ukrainę – Żywie Białaruś!

Najważniejszą częścią uroczystości na pl. Wolności było nabożeństwo żałobne w obrządku grekokatolickim. Panachidę sprawował J.E. ks. bp Włodzimierz Juszcak ordynariusz eparchii wrocławsko-koszalińskiej wraz z koncelebransami. W zaimprovizowanym przemówieniu nawiązał do potrzeby modlitwy za poległych i tych niewinnych i pomęczonych i tych, którzy bohaterstwo padli w walce o najwyższe dla siebie wartości, za rodzinę, za naród, za ojczyznę. Starał się dobierać po ukraińsku zrozumiałe dla obydwu narodów słowa. Modlili się wszyscy: Ukraińcy i Polacy, Białorusini i przedstawiciele innych narodów Europy wschodniej ... mimo strug zimnego deszczu.

Oprócz nabożeństwa, na pl. Wolności przejmująco wybrzmiała rezolucja sejmiku województwa dolnośląskiego. Odczytał ją radny Tytus Czartoryski, przewodniczący Komisji Kultury, Nauki i Edukacji. Wspomniał o prawie do godności, do ochrony praw człowieka, wresz-

cie do obrony wartości europejskich, której rubież dziś przebiega w ciągłej walce na froncie ukraińskim. Po uroczystości religijnej wystąpiła ukraińska młodzież. Popłynęła starodawna zakarpacka ludowa pieśń żałobna – „Hej, pływe kacza po Tisini” („Pływie kaczką po Cisie”). To swoiste ukraińskie requiem – syn prowadzi dialog z matką przewidując, że polegnie na wojnie w obcych stronach, a z przekonaniem syna nie może pogodzić się matka. ...

Następnie głos oddano młodzieży z wrocławskiej szkoły ukraińskiej prowadzonej przez Fundację „Razom”. W kilku słowach opisali obwody Ukrainy, z których przybyli. Kraj sąsiadów ze wschodu dzieli się na 24 obwody oraz dwa miasta wydzielone. Autonomiczna republika Krymu stanowi osobną jednostkę administracyjną. Dzieci dwukrotnie skandowały wraz ze zgromadzonymi podziękowania dla Polski i Polaków po polsku i ukraińsku.

Ostatnim punktem uroczystości był koncert w pobliskim Narodowym Forum Muzyki (NFM). Orkiestrę z udziałem chóru poprowadził sam dyrektor, maestro Andrzej Kosendiak. Chór został przygotowany przez Lionel'a Sow. Wystąpiły znakomitości: – Olga Pasiecznik – sopran, Agata Schmidt – alt, Maciej Kwaśnikowski – tenor, Paweł Horodyski – bas. Koncert poprzedziła „Modlitwa za Ukrainę” – utwór ukraińskiego kompozytora Wałentyna Sylwestrowa, urodzonego w pamiętnym strasnym dla Ukrainy 1937 roku. Następnie zabrzmiało monumentalne dzieło Wolfganga Amadeusza Mozarta – Requiem. Wspaniałe wykonanie z 24 lutego 2023 r. przejdzie do historii NFM, o czym świadczyły wielominutowe oklaski zachwyconych gości.

**Uroczystość z 24 lutego b.r. to potwierdzenie, że Ukraina po trudach i znoju, znaczonej zniszczeniem i śmiercią odzyskała... żyje! Żyje!**



## „W cudzych domach”



ARTUR ADAMSKI

■ Pod takim tytułem („In den Hausen der anderen”) ukazała się w RFN książka Karoliny Kuszyk, wcześniej przez wydawnictwo „Czarne” opublikowana pod tytułem „Poniemieckie”. Premiera miała miejsce w słynnym, utworzonym z inicjatywy Eriki Steinbach, berlińskim Muzeum Uciezka Wypędzenie Pojednanie. Potężnie nagłośniona przez media spotkała się z przyjęciem bardziej, niż entuzjastycznym. Mimo, że od pojawienia się w księgarniach minęło ledwie parę miesięcy, autorka już uhonorowana została pierwszymi nagrodami. Spodziewać się jednak można, że to dopiero początek zachwyty, laurów, triumfów i wszelkiego rodzaju trofeów, jakimi będzie obsypywana.

Dość znamienity jest pierwszy z wawrzynów, przyznanych Karolinie Kuszyk. Jest nim bowiem Nagroda im. Artura Kronthala. Warto wiedzieć zarówno kim jest patron owej nagrody, jak też czym jest instytucja honorująca bonusami jego imienia. Kronthal był urodzonym w 1859 roku Prusakiem pochodzenia żydowskiego, który korzystając z niemieckich programów osadnictwa w Wielkopolsce (finansowe zachęty sprawiły, że w krótkim czasie odsetek Niemców w niektórych naszych miastach sięgnął 50%) przeniósł się z Berlina do Poznania. Zajmował się w nim przede wszystkim dowodzeniem „odwiecznej niemieckości Wielkopolski”. Do jego publikacji należą dzieła takie, jak np. „Poznań oczami Prusaka wzorcowego” czy całe cykle poświęcone rzekomo z gruntu niemieckiej historii Poznania i jego zabytków. Sławę przyniosło mu np. „udowodnienie”, że orzeł z wieży poznańskiego ratusza nigdy nie miał związku z tradycją polskiego państwa i narodu. Nagrodę imienia Kronthala przyznaje Kommission fur die Geschichte der Deutschen in Polen, specjalizująca się głównie w dokumentowaniu niemieckiego dziedzictwa na Wschodzie, ze szczególnym uwzględnieniem „niemieckiej historii prowincji poznańskiej”. Instytucję tę w roku 1950 w Hesji założył przede wszystkim Gotthold Rhode – za Hitlera funkcjonariusz NSDAP w randze Sonderführera, jeden z najbliższych współpracowników osławionego ludobójstwem i największymi grabieżami polskich dzieł sztuki gubernatora Dystryktów Kraków oraz Galicja, Gruppenführera Ottona von Wachter. Równocześnie, od kwietnia 1939 aż do maja 1945 Rhode był referentem do spraw polskich w Instytucie Europy Wschodniej we Wrocławiu. Tym samym, który walnie się przyczynił do stworzenia Generalplan Ost. Rhode (który zmarł w Moguncji dopiero w roku 1990) do końca życia nie ukrywał zresztą, że „zawsze dążył do umacniania niemieckości na Wschodzie”.



Fot. Wikipedia

Niemieckie zachwyty nad książką Karoliny Kuszyk nie mogą dziwić. Już jej tytuł przecież sugeruje, że Polacy z tzw. Ziemi Odzyskanych mieszkają „w cudzych domach”. Czyli jakby „nie są u siebie”. A tytuł to dopiero początek tych obrazków Polski i Polaków, których Niemcy łakną najbardziej. Za filmy z takimi obrazkami ich twórcy na Berlinale automatycznie mają przecież zapewnione przynajmniej Srebrnego Niedźwiedzia. Podobnie przedmiotem uwielbienia i damą czy kawalerem całego strumienia medali zostaje każdy, kto zasłynie „bonmotem” w rodzaju: „W czasie okupacji bardziej bałem się Polaków niż Niemców”. Wśród ludzi pióra odkrywcą tej prawidłowości był Andrzej Szczypiorski. Po opublikowaniu powieści, w której ofiary niemieckiego terroru swą podłością ścigają się z funkcjonariuszami Gestapo grafomański gniot tego funkcjonariusza PRL-owskiego aparatu propagandy a następnie tajnego współpracownika UB i SB stał się bestsellerem bijącym rekordy zarówno pod względem rozmiaru sprzedanych nakładów, jak też wysokości autorskich honorariów i ilości przyznanych nagród. Widząc odkrytą przez Szczypiorskiego prawidłowość, do realizacji niemieckiego zapotrzebowania już dawno rzucili się inni. Czasem nie poprzestając nawet na produkowaniu kolejnych doskonale wstrzeliwujących się w oczekiwania książek, ale tworząc całe firmy wydawnicze o odpowiednim profilu. Z niemieckiej strony nigdy nie spotyka ich rozczarowanie.

Przymusowe wyrwanie ze stron rodzinnych i znalezienie się w przestrzeni w dużej mierze

obcej było doświadczeniem wielkiej części Polaków. Z ojczyzny przodków wyrzucono miliony mieszkańców wschodniej połowy terytorium II Rzeczypospolitej. Nie miały też do kąd wracać setki tysięcy więźniów niemieckich obozów. Nie raz słyszałem wstrząsające wyznania niegdyś warszawian, dla których ich rodzinne miasto w roku 1944 było już jedynie miejscem, w którym Niemcy wymordowali ich rodziny. Dla nich zamieniona w pustynię polska stolica na zawsze być już miała wyłącznie wspomnieniem masowego mordu. Do końca życia pozostawała „zabudowanym cmentarzem” (nigdy nie zapomnę głosów wypowiadających takie właśnie „poniemieckie” imię Warszawy). Swoje życie odbudowywali więc na innych gruzach, np. wrocławskich. Czytając książkę Karoliny Kuszyk przychodziło mi do głowy pytanie o to, jak odebrali ją ci, którzy mówili o sobie: „jesteśmy ocalałą resztką”. I może dobrze, że nie doczekali czasów, w których spod polskiej ręki wychodzić potrafią wytwory w rodzaju „W cudzych domach”. Pierwsze, co można powiedzieć o autorce tej książki to oczywiście porażająca skala ignorancji. Ubolewając nad losem niemieckiego dziedzictwa Niem Zachodnich i Północnych Niemal nie zauważa ona historycznego kontekstu. Nie jest więc skłonna dostrzec, że ci, którzy od roku 1945 stawali się dysponentami niemieckich nieruchomości i ruchomości są narodem przez niemieckie państwo skazanym na eksterminację. O sytuacji tych ludzi w wierszu pt. „Ocalony” Tadeusz Różewicz pisał jako o szczęściarzach, którzy przeżyli mimo, że już prowadzono ►



► ich na rzeź. Kiedy będąc nastolatkiem zetknąłem się z literackim świadectwem Różewicza wcale mnie ono nie zaskoczyło. Od najmłodszych lat znane mi było wspomnienie mojego ojca, który po powrocie z okupacyjnej poniewierki dowiedział się, że z grona pedagogicznego jego szkoły wojnę przeżył tylko jeden nauczyciel. Urodziłem się dziewiętnaście lat po wojnie a podobnych opowieści usłyszałem bez liku. Tymczasem z książki pani Kuszyk dowiadujemy się przede wszystkim o cierpieniach Niemców, o smutnym losie cmentarzy, jakie pozostawili w Szczecinie czy Legnicy. Zupełnie tak, jakby szukający jakiegoś dachu nad głową naród polskich niedobitków w latach oplakiwania śmierci najbliższych, w czasach nędzy i głodu nie miał do roboty niczego bardziej pilnego od otaczania troską niemieckiego dziedzictwa. Na jakże licznych stronach tej książki spotykamy się też z relacjami prowadzącymi do wniosku, że pojawienie się Polaków nad Odrą czy Nysą było czymś na kształt zderzenia dzikich hord z nieznanym im światem wysokorozwiniętej cywilizacji. Jedną z opowieści przywołuje np. zabawę, polegającą na wożeniu przez dzieci na saneczkach zwłok wydobywanych z grobowców. Uwierzyć mi w coś takiego trudno, ale też nie mam podstaw do zanegowania wydarzenia opisanego w książce pani Kuszyk. Dziwi mnie jednak, że dając wiarę takim relacjom pisarka nie zdołała się na refleksję nad przyczynami, na gruncie których wykwitnąć mogły tego rodzaju wynaturzenia. Nad zaplanowaną i konsekwentnie przez Niemców realizowaną zagładą nie tylko wszystkich choć trochę wykształconych Polaków. Nad postanowieniem, według którego Polakowi dostępne mogą być co najwyżej kwalifikacje cieśli, ale już nie stolarza. Nad szeregiem lat wszechobecnego zadawania przez Niemców śmierci. Nad dorastaniem młodego pokolenia w takich właśnie realiach. Zamiast tego mamy tyrady o czcigodnych Niemcach oraz ich niezawinionym cierpieniu. I o pozbawionych sumienia Polakach skupionych na grabieniu i niszczeniu. Polakach stanowczo zbyt prymitywnych, by być zdolnymi docenić i racjonalnie korzystać z tego, co im po sobie pozostawili Niemcy.

„In den Hausen der anderen” Karoliny Kuszyk to kwintesencja wszystkiego, co niechętni Polsce Niemcy chcieliby czytać o sobie i oczywiście – o Polakach. Niemiecki odbiorca znajdzie w tej książce dobitne potwierdzenie wyznawanej przez niego wersji historii XX wieku a każdy negatywny stereotyp Polaka za sprawą tej lektury zostanie nie tylko „udowodniony”, „udokumentowany”, ale też ugruntowany i wzbogacony obrazkami, na stworzenie których trzeba było naprawdę nie-lichej wyobraźni. Triumfalny pochód autorki i jej dzieła jest więc bardziej, niż pewny. Deszcz nagród i wszelakich korzyści – zagwarantowany.



KRYSZYNA JAGOSZEWSKA

Kornel zwykle dzwonił we wtorek.  
– Krysieńka? Jutro robimy gazetę. Możesz pomóc? No to przyjedź wieczorem do Romka.

Gazeta powstawała w pokoju wypełnionym książkami, sporo miejsca zajmowały też komputery i laptopy. Przy dwóch dużych monitorach siedział Romek. Ze skupieniem wpatrywał się w wyświetlone teksty, zwiększał lub zmniejszał litery, zmieniał krój czcionek, wklejał fotografie. Kornel przyglądał się z boku.

– To zdjęcie przesunąć wyżej, tu będzie podpis. Ten artykuł przenieś na następną stronę. Bardzo dobrze, o to mi chodziło.

A potem zwracał się do mnie:

– Podoba ci się? A może lepiej zmienić tytuł, jak myślisz?

Po ustaleniu ostatecznej wersji siadałam przy laptopie, aby poprawić jakiś tekst, coś przepisać albo skrócić. Helenka przynosiła kawę i herbatę z imbirem, Romek zapalał kolejnego papierosa, a Kornel wychodził do drugiego pokoju i pisał „wstępniak”. Najczęściej był to niezbyt długi tekst zawierający trochę filozoficznych przemyśleń, często odwołujących się do Ewangelii, komentarz do jakiegoś wydarzenia w kraju lub na świecie albo propozycja podjęcia jakiegoś działania. Bardzo zależało mu, aby każde słowo oddawało dokładnie to, co myślał. Oboje zastanawialiśmy się, czy wyraz „ofiara” jest lepszy niż „poświęcenie”, czy skrócenie zdania nie zmieni jego sensu, czy przecinek można zastąpić myślnikiem.

Lubiłam te rozmowy. Nie znam zbyt wielu ludzi, którzy by chcieli, tak jak Norwid, „odpowiednie dać rzeczy słowo”.

Poezja też była ważna. W każdym numerze gazety musiał być wiersz. Mógł dotyczyć różnych tematów, najlepiej żeby odwoływał się do postaw życiowych, wyborów albo żeby przypominał jakieś wydarzenie. Nie mógł jednak poddawać w wątpliwość wartości heroizmu. Pamiętam ostrą reakcję Kornela na wiersz Ernesta Brylla:

#### Krajobraz podwarszawski

*Śpi reduta Ordon. Bóg płomienną świecą  
Nie dotknął prochów świata i wszystko zostało  
Jeszcze twardsze niż było. Ani się rozleca  
Imperia krwią zlepione... Nawet nie zagrzmiało  
Dziś tutaj cisza taka – jakby nic nie było  
Tuż pod sercem Warszawy – jakby te płomienie  
To ogniem oczyszczenie, to ziemi wstrząśnienie  
Tylko się w zapomnianych bajkach przysniło  
Może lepiej nie czekać, może nie wspominać  
Może nie naszeptywać od ojca do syna  
Może na tym pęknięciu, na historii bliźnie  
Uprawiać pomidory – tak służąc ojczyźnie?*

– Nie zgadzam się z tym – powiedział nieco wzburzony – ten wiersz odbiera nadzieję!

Zdecydowaliśmy się zatem na zamieszczenie wiersza Kazimierza Wierzyńskiego.

#### Strofa o Prometeuszu

*Pytasz, kto jest ten więzień? Skazaniec zuchwały,  
Co losu się nie uląkł i męką się trudzi.  
Na górach łańcuchami przykuty do skał,  
Pokarany przez bogów, męczony przez ludzi,  
Nie wyrzekł się wolności i uparł się przy niej  
I okiem swe dalekie obchodzi zastępy  
I cokolwiek się stanie, co jeszcze zawini –  
Wytrwa przy swoim ogniu. I biada wam, sępy!*

Kornel wpatrywał się dłuższą chwilę w tekst, wreszcie powiedział:

– Tak, oczywiście, że tak. – I to był cały komentarz.

# Gazeta Kornela

W 2015 roku Kornel wygłosił w Sejmie słynne przemówienie z apostrofą: „Niosę Ciebie, Polsko, jak żagiew, jak płomienie”.

Pochłonęły go ważne sprawy, wydawałoby się, odległe od redagowania gazety. Jego obowiązki w redakcji przejął Albert Łyjak. Dwutygodnik powstawał teraz w lokalu Stowarzyszenia Solidarność Walcząca przy ul. Barlickiego, w którym mieściło się biuro poselskie Kornela. Od rana do wieczora przemieszczały się tam tłumy ludzi. Każdy chciał coś załatwić, poprosić o pomoc, przedstawić swój punkt widzenia na jakiś temat lub tylko porozmawiać. Panował nieopisany zgiełk – rozmowy telefoniczne, brzęczenie filizanek i łyżeczek, ożywione dyskusje prowadzone jednocześnie w kilku miejscach pokoju – słowem kompletny chaos. Ale Kornelowi on nie przeszkadzał. Rozmawiał z ludźmi, odbierał telefony, udzielał dziennikarzom licznych wywiadów i... tworzył gazetę. Przeglądał nadesłane artykuły, porównywał zdjęcia i, jak to miał w zwyczaju, pytał ludzi (również spoza redakcji), co myślą o szacie graficznej, tytułach itp. Oczywiście zawsze pamiętał o napisaniu „wstępniaka”. Jeśli musiał wyjechać, przysyłał tekst mailem, czasem w ostatniej chwili, tuż przed wysłaniem gazety do druku. Kiedyś, jadąc pociągiem, dyktował „wstępniak” przez telefon, a Albert spisywał w pośpiechu jego słowa. Raz otrzymaliśmy tekst Kornela napisany w dość pokaznym esemesie. Po powrocie z podróży uważnie czytał najnowszy numer, czasem pochwaliał, czasem skrytykował, często podpowiadał, co można zrobić lepiej. Kiedy wychodził na spotkanie poza biurem, zawsze zabierał ze sobą gruby plik gazet, żeby obdarować nimi przypadkowych rozmówców. A w biurze, na stole tuż przy drzwiach, rozkładał najnowsze i wcześniejsze wydania, aby każdy przybyś mógł wziąć dla siebie i znajomych po kilka sztuk. I ludzie chętnie brali, a potem sami przychodzili po następne numery.

Odzew był bardzo duży. Do redakcji ciągle ktoś dzwonił, ludzie pytali o różne kwestie poruszone w gazecie, przysyłali swoje teksty z prośbą o ich wydrukowanie, niektórzy, przeważnie starsi, przynosili obszernie rozprawy napisane ręcznie. Gazeta stała się z czasem swoistą trybuną czytelników, którzy pisali o ważnych dla nich sprawach, na przykład o popadających w ruinę przedwojennych budynkach na Sępolnie. Oczywiście zawsze mogliśmy liczyć na stałych autorów i na ich cykliczne teksty o historii, polityce, gospodarce, odkryciach naukowych itp. Jedną stroną Kornel udostępnił początkującym literatom. W rubryce „Młode Talenty” redaktor Stanisław Srokowski zamieszczał wywiady z uczniami szkół średnich, którzy próbowali swych sił w poezji lub krótkich formach prozatorskich. Organizował też konkursy literackie, a zwycięzców zapraszał do redakcji po odbiór nagród. Nagrody wręczał Kornel, co znacznie podnosiło prestiż imprezy.

Po kilku latach Kornel zachorował. Z niepokojem czekaliśmy na informacje ze szpitala, ale z każdym tygodniem było gorzej. Kiedy nadeszła ta najgorsza wiadomość, zrozumieliśmy, że dla każdego, kto był jego przyjacielem, zakończył się pewien rozdział w życiu. Siedzieliśmy w opustoszałym biurze, z którego już wyniesiono szafki, fotele, regały, nawet ekspres do kawy – wszystko to, co należy się postłowi na sejm. W milczeniu pracowaliśmy nad kolejnym wydaniem gazety. Nikt nie hałasował, skończyły się głośne rozmowy i parzenie kawy w kuchni. Poprawiałam jakiś artykuł i nasłuchiwałam. To było irracjonalne, ale czekałam na odgłos kroków w korytarzu, na skrzypnięcie drzwi i na Kornela, który wchodząc do pokoju, powie: „Albert, poszukaj mi przedostatniego numeru. Muszę coś sprawdzić”.

Ryszard Czarnecki

POLSKA,  
ŚWIAT  
I OKOLICE...

## Joe Biden niejedną ma twarz...

W ostatnich siedmiu latach Polska znajduje się w okresie wyjątkowej dla siebie koniunktury międzynarodowej. Niektórzy dowcipnie zauważają nawet, że „Pan Bóg jest Polakiem”. Od zwycięstwa obozu niepodległościowego w wyborach w 2015 roku, szczytu NATO w Warszawie w 2016, rządów Trumpa zapoczątkowanego jego wiktoria wyborczą w listopadzie 2016 aż po czasy kluczowej roli Polski podczas wojny w Europie Wschodniej – te siedem i pół roku to w olbrzymiej mierze czas, w którym Polska, niczym sprawny surfer, skutecznie pokonywała wzburzone międzynarodowe fale. W tym czasie był tylko jeden rok „smuty”. To oczywiście fatalny pierwszy rok obecności w Białym Domu 46. prezydenta w dziejach USA Josepha Robinette’a Bidena. Ten Biden, który zareagował w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki, tak, jak trzeba, na agresję Rosji na naszego wschodniego sąsiada, to ten sam Biden, który na szczycie w Genewie w 2021 roku dał się jak dziecko ograć i ośmieszyć Putinowi. Ten Biden, który nazwał Putina po paru miesiącach rosyjskiej wojny „bandytą”, to ten sam Biden, który rok wcześniej rozpoczął kolejny „reset” relacji Waszyngton-Moskwa, mający przypominać „reset” z 2009 roku, gdy prezydentem był Barack Hussein Obama, Biden jego wiceprezydentem, a szefową MSZ czyli sekretarzem stanu Hillary Rodham Clinton. To wtedy Amerykanie odwołali instalację tarczy antyrakietowej w Polsce i w Czechach, bo nie chcieli wchodzić w drogę Putinowi w naszej części Europy, w zamian uzyskując jego „neutralność” w kwestiach Bliskiego Wschodu, Iranu czy Afganistanu. Uczciwie przyznajmy, że nieszczęsny „reset” na linii Biały Dom – Kreml trwał „tylko” (aż) jedną kadencję, a w drugiej tandem Obama-Biden zreflektował się i przeszedł na pozycję „jastrzębia”, czego przykładem było jednoznaczne wsparcie Euromajdanu w Kijowie w 2014 roku. Próby „resetu” numer dwa Anno Domini 2021 zostały przecięte 24 lutego 2022 inwazją Rosji na Ukrainę.

Co to pokazuje? Jednak pewną chwiejność Waszyngtonu. Oby w najbliższych miesiącach w polityce USA więcej było ducha z dwóch wizyt Bidena w Warszawie (2022-2023) niż nieszczęsnego szczytu z Putinem w Genewie (2021).

# Święty Józef

■ Po premierze filmu „Opiekun”. Aleksandra Polewska-Wianecka, autorka scenariusza, w rozmowie z Martą Morawiecką



MARTA MORAWIECKA

**Jesteś autorką kilkudziesięciu książek dla dorosłych i dzieci. Co nakłoniło Cię do napisania scenariusza filmowego? Czy to pojedyncze wyzwanie czy gotowość do kontynuacji działań na wielkim ekranie?**

Sama nigdy bym się nie porwała na pisanie scenariusza. Z wielu powodów. Jednak jeśli chodzi o „Opiekuna” odbyło się to tak, że pewnego dnia zadzwonił do mnie mój kolega z wydawnictwa „Rafaël”, z którym wówczas współpracowałam od ponad dziesięciu lat (dziś to już szesnaście) i zapytał czy nie napisałabym scenariusza do filmu o św. Józefie Kaliskim. Tu muszę wyjaśnić, że szef „Rafaëla”, Tomasz Balon-Mroczyka, co jakiś czas stawiał przede mną całkiem nowe wyzwania. Zaczynałam pisać i publikować z myślą tylko i wyłącznie o książkach dla dzieci. Ale po pierwszej, Tomek zaproponował żebym napisała coś dla dorosłych. I dziś tych książek dla dorosłych jest tylko trochę mniej niż tych dla dzieci. Później podsuwał kolejne rzeczy, włącznie ze scenariuszami do komiksów, których sama z siebie też bym się nie podjęła. Zatem kiedy poprosili mnie o scenariusz, przyjąłam propozycję. Nie miałam żadnego doświadczenia, ani wykształcenia w tym kierunku, ale doszłam do wniosku, że jeśli mi nie wyjdzie, to wyrzucą scenariusz do kosza, nikt się o tym nie dowie i wszystko zostanie w rodzinie. Przyznam jednak, że już po przyjęciu tej propozycji miałam wiele obaw. Dostałam stos książek o pisaniu scenariuszy i kiedy je przeczytałam, skonstatowałam, że wiem jeszcze mniej niż przedtem. I wtedy poprosiłam o pomoc św. Józefa. Jak widać, z perspektywy czasu, nie odmówił.

**Podkreślasz, że wiodąca historia opowiedziana w ramach filmu „Opiekun” jest oparta na autentycznych zdarzeniach. Zaskakujące, że ktoś**

**chciał się podzielić taką opowieścią.**

Wiodąca historia w filmie, nie została przedstawiona jeden do jednego. Jak mówi mój kolega reżyser: została zanonimizowana. Każdy kto widział film zapewne domyśla się z jakich względów. Ta historia wydarzyła się na moich oczach i stała się inspiracją do stworzenia filmowej, rozpadającej się rodziny Kordeckich. Prawdziwi bohaterowie mieli inne zawody, mieszkali w zupełnie innym niż Kalisz mieście itd. Natomiast istota ich historii, interwencja św. Józefa – to wszystko zostało odtworzone wiernie. Dziś gdy odpowiadam na Twoje pytania, mamy 5 marca. Film wszedł do kin 24 lutego. Dostaliśmy już pierwsze



fol. Bogusław Zdębski

głosy, że widzowie, którzy przyszli do kina z podobnymi problemami jak Kordecy, podjęli pierwsze próby ratowania swoich małżeństw. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie chętnie się dzielą doświadczeniami takich niebiańskich interwencji, pozwalają też je upu-

bliczniać mając świadomość, że ich historia może komuś pomóc. Czasem zastrzegają jednak by nie ujawniać szczegółów, które mogłyby pomóc ich zidentyfikować. I to jest zrozumiałe.

**Film oprócz krótkich retrospektyw przedstawia mocno osadzoną we współczesności historię małżeństwa w poważnym kryzysie. Uderza mnie mało zachwycająca postawa kobiet. Jedna zdradza, druga uwodzi. Myślisz, że w dzisiejszych czasach wierność to w równym stopniu problem kobiet co mężczyzn? Na ile mógł tu zamieszać królujący wszędzie feminizm?**

Nie jesteś pierwszą osobą, która o to pyta. Zaczę od małego wyjaśnienia. Ponieważ nie jestem zawodową scenarzystką, „Rafaël Film”, który jest producentem, poprosił reżysera Dariusza Reguckiego, by przełożył

mój scenariusz na język filmowy. Dariusz dokonał tego razem z Bartoszem Geislerem. Pano wie dokonali też swoich zmian w fabule i to niestety spłaszczyło trochę główną postać kobiecą czyli Dominikę Kordecką. Dominika (wzorowana na prawdziwej postaci), w moim zamyśle, była dzielną kobietą, bardziej zaradną życiowo niż mąż, walczącą o lepszy byt dla swojej rodziny. Prowadziła dom, ciągnęła kilka zajęć zarobkowych naraz. Była zmęczona. A ponieważ nie było widoków na to, że jej położenie się zmieni, w chwili słabości odpowiedziała na zaloty starającego się o nią bogatego przedsiębiorcę. Mojej bohaterce nie chodziło ani o karierę, ani o uwodzenie milionerów. Nie powiedziała by nigdy do męża: „Zabijasz moje marzenia”. Ona po te marzenia sięgnęłaby sama. Bo to silna kobieta, tylko wyczerpana. Takie momenty kryzysu w życiu

ma każdy, takie momenty zwrotne. Jeśli jest ciężko i człowiek nie ma oparcia w Bogu, będzie próbował sam poprawić sobie życie na swój sposób. Z bardzo różnymi skutkami, ale to naturalne, bo człowiek nie chce cierpieć. Druga postać, o której mówisz, że uwodzi, została w całości stworzona przez Darka i Bartka. Mam wrażenie, że w tym filmie, w kwestii osobowości bohaterek zderzają się czysto kobiece i czysto męskie punkty widzenia. Finalny obraz filmowych kobiet stworzyli mężczyźni. Co do statystyk dotyczących zdrad, myślę, że proporcje są zbliżone. Czy feminizm zamieszał w tej kwestii? Zdrady miały miejsce zawsze, także przed feminizmem. Myślę, że feminizm zamieszał w wielu innych sprawach, ale długo by o tym mówić.

**Wiemy, że stale rosnący odsetek rozbitych małżeństw w największym stopniu krzywdzi dzieci. Poprzez rozpad rodziny tracą one poczucie bezpieczeństwa i pozbawione są wzorca zdrowego szczęśliwego domu. Z kolei w filmie to właśnie dziecko, chłopiec, jest postacią wydaje się najdojrzalszą. Optymistyczna wizja ale czy realnie możliwa?**

Nie wiem czy to jest optymistyczna wizja, że dziecko jest dojrzałsze od rodziców, jeśli dobrze rozumiałam Twoje pytanie. Ja mogę mówić w tej kwestii tylko o swoim doświadczeniu. Kiedy miałam 13 lat małżeństwo moich rodziców było w ogromnym kryzysie. Atmosfera w domu była nie do zniesienia. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że rodzice powinni się rozwieść, bo patrząc po ludzku nie było szans by się porozumieli. Nie miałam wtedy żadnego poczucia bezpieczeństwa, cierpiałam i robiłam wszystko by się men- ▶



fol. Marlena Nawrocka



► talnie od tego odciąć. Wtedy stało się coś nieoczekiwane- go. W naszej parafii prowadzono katechezy, tata został na nie zaproszony. Jakimś cudem udało mu się namówić mamę by z nim poszła. Te katechezy odbywały się dwa razy w tygodniu przez dwa miesiące. Oni chodzili, a w domu zrobiło się spokojnie. Nawet ze sobą rozmawiali i to całkiem miło. Myślałam, katechezy się skończą i wszystko wróci. Nie, zmieniło się całe nasze życie. Od tamtego czasu, takich historii o uratowanych rodzinach widziałam co najmniej dziesiątki. Znam te rodziny, przyjaźnię się z ich członkami. Doświadczenie moich rodziców nauczyło mnie raz na zawsze, żeby opierać się na Bogu. Żeby Jego pytać: a jak Ty to widzisz? Jaki Ty masz pomysł na rozwiązanie tego problemu? Nie jestem ekspertem od małżeństwa, rozwodów, sytuacji dzieci z rozbitych rodzin i nigdy nie byłam. Nie mam jednak wątpliwości, że rozwiązania tych wszystkich problemów trzeba szukać w Górze.

**Tytułowy Opiekun św. Józef na kartach Ewangelii nie pozostawił nam ani jednego słowa, które wypowiedział do Najświętszej Maryi czy też do swego Podopiecznego Jezusa. Jak to możliwe, że tak niemy patron jest do dziś dnia skutecznym orędownikiem rodzin?**

Józefolodzy mawiają, że św. Józef zamiast gadać działał. Bo musiał działać. Najpierw miał za zadanie ochronić małego Jezusa przed Herodem, później wyżywić swoją rodzinę w Egipcie, jeszcze później opiekować się nią w Nazarecie. Józefolodzy mówią też, że prawdziwy mężczyzna przede wszystkim działa, a jego czyny mówią za niego. Ja osobiście myślę, że św. Józef był bardzo szczęśliwy mimo tych wszystkich przeciwności typu Herod czy niepewność życia w Egipcie. I pewnie również z tego powodu chce



fot. Bogusław Zdębski

żebyśmy my, tu na Ziemi, mieli równie szczęśliwe rodziny jak on. Mimo wszystkich trudności, z jakimi się borykamy. I dlatego jest taki skuteczny.

**Masz może jakieś związki z Bazyliką św. Józefa w Kaliszu? Na ile ważny dla Ciebie osobiście jest św. Józef?**

Odkąd rozpoczęłam pracę nad scenariuszem moje związki z Bazyliką św. Józefa są bardzo zażyłe. Dość powiedzieć, że współtworzę jej media społecznościowe. Czasem mam wręcz wrażenie, że ta bazylika stoi w moim mieście, tzn. w Koninie, a nie w odległym o 50 km Kaliszu. Św. Józef natomiast w moim życiu był obecny w jakiś sposób zawsze. Mój tata ma na imię Józef i jego tata też miał tak na imię. Nie znałam dziadka Józefa, ale moja babcia, a jego żona, opowiadała mi o nim zawsze z wielką miłością i szacunkiem. Mówiła, że był jak święty Józef. Natomiast ja osobiście odkryłam św. Józefa jakieś 13 lat temu. Dziś jest po prostu częścią mojego życia. Jest jak przyjaciel, jak opiekun. Mam wrażenie, że cały czas jest obok, tylko po prostu go nie widać. Długo mogłabym mówić o wsparciu jakiego mi udziela.

**Słyszałam, że jest sporo przesady w umieszczaniu trzech nazwisk jako autorów scenariusza. Jaka była Twoja rola, a jaka figurujących z Tobą na ekranie dwóch panów?**

Jak już wspomniałam na początku, dostałam propozycję stworzenia scenariusza od zera. I tak też zrobiłam. Stworzyłam całą fabułę opartą na faktach i prawie wszystkie postaci fabularne. Wymyśliłam ich zawody, rozgłośnie radiową, audycję, którą prowadzi główny bohater, sklep z sukniami ślubnymi i wieczorowymi, firmę produkującą instrumenty, której właścicielem jest nowy partner głównej bohaterki itd. Darek i Bartek na prośbę producenta dołożyli przede wszystkim sceny dokumentalne i trochę przerebili moją wersję fabuły i dialogi. Całkowicie ich autorstwa jest wątek cudu w Dachau. Dodali postać Kasi, dziennikarki radiowej. Oni też przełożyli mój tekst na język filmowy.

**Najserdeczniej gratuluję pięknie opowiedzianej historii. Mam nadzieję, że wielu zobaczy i uwierzy!**

Bardzo dziękuję.



fot. Bogusław Zdębski

## Między numerami



Amerykański orzeł ląduje tam, gdzie chce – symbolicznie odpowiadając Putinowi na stwierdzenie, że Rosja graniczy, z kim chce. Prezydent USA Joe Biden z brawurą pionierów Dzikiego Zachodu przez polski Rzeszów dotarł tuż przed rocznicą rosyjskiej agresji do Kijowa. Spotkanie z ukraińskim prezydentem, tak blisko frontu, w zasięgu rosyjskich dronów, rakiet, samolotów – daje do myślenia. W ramach tej samej podróży amerykań-



skiego prezydenta odbyło się warszawskie spotkanie z polskimi władzami, tymi które skutecznie działają i nie ustają w pomocy na rzecz Ukrainy. Prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki nie tracili czasu na wymianę uprzejmości, medali, kwiatów. Już następnego dnia cztery „żelazne pięści”, zostały przekazane przez PMM ukraińskim żołnierzom.

**Mamy nadzieję, że ofiarowane przez Polskę nowoczesne Leopardy niemiecki kanclerz nie zaliczy do swoich sukcesów.**

Redakcja



© Krystian

# Uniwersytet fenomenem kultury chrześcijańskiej i europejskiej

Ks. DR HAB.  
TOMASZ  
BŁASZCZYK

■ „Droga uniwersytetu (...) to droga do wyzwolenia człowieczeństwa, tego wielkiego potencjału możliwości ducha ludzkiego, umysłu, woli i serca – kształtowania wielkiego i dojrzałego człowieczeństwa. (...) Uniwersytet jest wspaniałym środkiem do celu, instytucja uniwersytetu jest jednym z arcydzieł ludzkiej kultury. Zachodzi tylko obawa, czy to arcydzieło nie ulega w dzisiejszej epoce odkształceniu i to w wymiarze globu” – mówił Jan Paweł II do przedstawicieli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego podczas spotkania na Jasnej Górze 6 czerwca 1979 r.

Nazywając instytucję uniwersytetu „arcydziełem ludzkiej kultury” wskazał, że uniwersytet stał się fenomenem i współtwórcą kultury europejskiej. Równocześnie kładł silny akcent na wspólną genealogię uniwersytetu europejskiego, w pewnym sensie nowożytnego, i Kościoła. Zarówno uniwersytetowi, jak i Kościołowi chodziło o to samo. Celem uniwersytetu jest wiedza i mądrość, a celem Kościoła zbawienie, głoszenie prawdy zawartej w Ewangelii, przybliżanie i objaśnianie porządku nadprzyrodzonego i wpływającego z niego porządku miłości. Oba kierunki dwóch zasadniczych instytucji muszą się dopełniać ze względu na podstawowy cel, jakim jest doskonałość człowieka, tak w aspekcie intelektualnym, jak i duchowym.

Te dwa porządki legły u podstaw tworzenia pierwszych uniwersytetów na terenie Europy m.in. w Bolonii (przełom XI i XII wieku), Paryżu (XII w.), Oksfordzie (1167), Modenie (1175), Cambridge (1209), Salamancie (1218), Padwie (1222), Sienie (1289), Coimbrze (1308), Florencji (1321), Pizie (1343), Pradze (1348), Krakowie (1364), Wiedniu (1365), Heidelbergu (1386), Kolonii (1388), Budapeszcie (1389) czy Erfurcie (1392). Uniwersytety te, choć na przestrzeni dziejów ulegały zmianom wraz ze zmieniającymi się potrzebami społecznymi, to zasadniczo do XIX wieku wierne były celom, dla których je założono: nauczanie młodzieży, prowadzenie badań naukowych i promowanie wartości, na których chrześcijaństwo zbudowało europejską kulturę. Począwszy jednak od XVI wieku dostrzeżono zmiany, które wpłynęły na charakter uniwersytetu, eksponując czynnik narodowy, państwowy, wyznaniowy, a nawet branżowy. Poszczególne państwa pośrednio zniekształcały uniwersalne cele uniwersytetu dążąc do uwydatnienia ich znaczenia w świecie nauki a także przydatności szkoły dla państwa. Ostatecznie wytworzyły się cztery podstawowe koncepcje uniwersytetu. W niemieckiej uniwersytet miał spowodować uzyskanie przez studenta całościowej wiedzy i prawdy, tym samym był nastawiony na uczenie myślenia. Uniwersytet według koncepcji angielskiej miał wyeduko-



Fot. Artur Waszkielewicz

wać i wychować mądrego, uczciwego i dobrego człowieka, pozostawiając badania naukowe akademikom, skupiającym badaczy a nie wykładowców. Amerykański model nastawiony był na pozyskiwanie wiedzy, ale w praktycznym jej zastosowaniu, czyli dydaktyka musiała odzwierciedlać badania naukowe, przez co uniwersytet amerykański miał być centrum i nośnikiem cywilizacyjnego postępu. I w końcu francuska koncepcja uniwersytetu doby napoleońskiej zakładała zawodowe kształcenie sprawnych i kompetentnych sług państwa, stając się równocześnie instrumentem polityki i władzy.

Obok powyższych XIX-wiecznych koncepcji uniwersytetu można mówić o jego paradygmatach, które charakteryzują się postawą wobec tradycji z jakiej wyrosły, przedmiotem zainteresowań w badaniu rzeczywistości bądź sankcjonowaniu tylko jej materialnej strony, wreszcie stosunkiem do prawdy – możliwością jej intelektualnego i pewnego poznania, bądź jej odrzucenia.

Klasycznym paradygmatem określa się uniwersytet średniowieczny, który powstał na bazie kościelnych ośrodków nauczania i był prowadzony według norm prawa kanonicznego. Głęboko zakorzeniony w chrześcijańskiej wizji rzeczywistości opierał się także na klasycznej kulturze grecko-rzymskiej, promując niezmiennie wartości, które człowiek jest w stanie odkryć i poznać. Ten paradygmat na pierwszym miejscu eksponował nauki

teologiczne, a w dalszej kolejności filozofię.

W drugiej połowie XIX wieku ukształtował się pozytywistyczny paradygmat uniwersytetu opierający się na filozoficznym przekonaniu, że wyłącznie świat materialny jest jedyną rzeczywistością, którą nauki matematyczno-przyrodnicze są w stanie kompetentnie opisać. Dla tak rozumianego paradygmatu to nie wartości a fakty były najistotniejsze, co doprowadziło do sekularyzacji uniwersytetu jako ośrodka naukowego, przyczyniając się do wyeliminowania wartości moralnych ze wszystkich płaszczyzn życia społecznego (nauki, gospodarki, ekonomii, relacji interpersonalnych). Stąd wyeliminowano, a przynajmniej ograniczono teologię jako nadrzędną strukturę naukową, a w jej miejsce wyeksponowano filozofię ze wskazaniem na nauki przyrodnicze i matematykę. Dążono tym samym do oddzielenia nauki od wiary, co skutkowało błędem antropologicznym pogłębionym przez kolejny paradygmat, postmodernistyczny. Ten ostatni był sceptycznie ustosunkowany do rozumu i myślenia pewnego, zatem nie tylko do teologii ale i filozofii, i wskazywał na możliwość osiągnięcia tylko prawdy przybliżonej. Eksponował odmienną, od rozumowego, wizję rzeczywistości bardziej osadzoną w holistycznym i ekologicznym schemacie życia. Paradygmat ten przyczynił się do zideologizowania uniwersytetu, gdzie lewackie systemy myślowe zawładnęły salami akademickimi.

Obecnie istnieje potrzeba wytworzenia nowego wzorca uniwersyteckiego wolnego od ideologii, zwłaszcza lewackiej, paradygmatu przywracającego równowagę między wiarą a rozumem, gdzie w centrum dociekań naukowych stanie człowiek i otaczająca go rzeczywistość. Warto w tym miejscu posłużyć się dokumentami Stolicy Apostolskiej i koncepcją nowego paradygmatu w ujęciu św. Jana Pawła II czy Benedykta XVI, którzy nadali mu miano „nowego humanizmu”. Charakterystyczną cechą tego spojrzenia, jak to określił papież Benedykt XVI w wykładzie rzymskim z 12.09.2006 r., jest „odważne otwarcie się na cały zakres możliwości rozumu, który jest zawsze twórczy i zdolny do udzielania się”. Nie można jedynie zatrzymać się na pozytywistycznym nurcie pojmowania „rozumu” uznającego tylko to, co materialne jako z natury racjonalne i zgodnie z paradygmatem pozytywistycznym, podlegające dalszemu badaniu naukowemu, co w ostateczności doprowadziło do zawężenia horyzontu nauki. Nowy paradygmat domaga się nowego etosu naukowości opartego na szerokim dialogu poszczególnych dyscyplin naukowych, który w efekcie przybliży człowieka do poznania ostatecznej prawdy. Uniwersytet uznając autorytet prawdy poprzez jej odkrywanie i analizowanie musi stać się platformą „odkrycia Boga, który jest stwórczym Rozumem i Rozumem-Mi-

łością” – jak podkreślał w swoim niewygodnym przemówieniu na Uniwersytecie La Sapienza z 17.01.2008 r. papież Benedykt XVI. Instytucja ta musi podjąć badania prowadzące do poznania całej prawdy, a pragnienie poznawania jest pragnieniem prawdy.

Z kolei św. Jan Paweł II w swoich dokumentach *Sapientia christiana* z 15.04.1979 r. oraz *Ex corde Ecclesiae* z 15.08.1990 r. wyraźnie podkreślał, że uniwersytet korzystając z osiągnięć naukowych bieżącej epoki powinien dążyć do integracji wiedzy, prowadzić dialog między wiarą a rozumem, troszczyć się o etyczny wymiar nauki i zabiegać o perspektywę teologiczną. W żadnym wypadku nie powinien „przyjmować systemów i metod, których nie da się pogodzić z chrześcijańską wiarą”. Dlatego w poszukiwaniu prawdy należy wykorzystać cały dorobek filozofii i teologii celem zrozumienia samego człowieka i sensu ludzkiego życia. Wszystkie dyscypliny naukowe powinny w swoich badaniach dążyć do spójnej wizji świata i obejmować studium ważnych problemów współczesności, do których św. Jan Paweł II zaliczył: godność ludzkiego życia, w tym usytuowanie człowieka w rodzinie i świecie, sprawiedliwość społeczną, ochronę środowiska naturalnego celem kształtowania sumienia ekologicznego, w tym równomiernego podziału zasobów świata, działanie na rzecz pokoju i stabilizacji politycznej, pochylenia się nad nowym porządkiem gospodarczym i politycznym – to wszystko razem przy uwzględnieniu aspektu etycznego i religijnego.

**Dokumenty papieskie mocno osadzone w zapisach Soboru Watykańskiego II dają nadzieję na ukonstytuowanie się paradygmatu nowego humanizmu, który powinien być realizowany na uniwersytetach tak świeckich, jak i katolickich, już funkcjonujących i nowo zakładanych. Istnieje taka potrzeba powstania nowego uniwersytetu we Wrocławiu, który realizując nowy wzorzec uniwersytecki oddziaływałby także na Czechy, Serbołużyczan, a nawet na Polonię.**



# Geneza Stowarzyszenia Solidarność Walcząca



ARTUR  
ADAMSKI

■ Zamieszczone na łamach „Prawda Jest Ciekawa” wspomnienie Stanisława Srokowskiego przedstawia jeden z epizodów, prowadzących do powstania stowarzyszenia zrzeszającego członków podziemnej organizacji Kornela Morawieckiego. Historia ta jest jednak o wiele dłuższa.

Pierwsza poważna debata na temat powołania Stowarzyszenia SW miała miejsce jesienią roku 1995, przy okazji III Zjazdu Partii Wolności. Zgodnie z przewidywaniami wygłaszanymi przez Mateusza Morawieckiego w auli Politechniki Wrocławskiej na II Zjeździe, dość jeszcze okazałym, nasza partia ulegała wówczas coraz większej marginalizacji. Obrazem tego był także jej III Zjazd, odbywający się we Wrocławiu, w osiedlowej świetlicy przy ul. Rydygiera. Obradami kierował Maciek Frankiewicz, z Rzeszowa dotarł na nie ciężko już schorowany Antek Korpaczewski. Wielu znanych działaczy SW wśród zebranych już jednak nie było. Zamiast nich pojawiło się sporo osób, które mało kto z nas kojarzył. Jeden z delegatów, którego tożsamość jak się okazało nie była łatwa do ustalenia, wystąpił wtedy nagle z wnioskiem o samorozwiązanie partii. Pierwszym, który zaprotestował, był Edek Wółtański. Poprosił nawet prezydium Zjazdu, by wniosek o rozwiązanie partii nie został zaprotokołowany. Zamiast tego Zjazd zajął się sprawą zmiany jej nazwy. Efektem spychania na margines Partii Wolności było bowiem coraz częstsze jej mylenie z Unią Wolności. Przyjęta wtedy została moja propozycja, skutkiem której od tamtego czasu w użyciu było imię dwuczłonowe: Partia Wolności – Solidarność Walcząca. Zaraz po Zjeździe rozpoczęła się dyskusja nad celowością kontynuowania tego bytu politycznego. Wielu uważało, że zamiast partii powinno powstać sto-

warzyszenie, którego celem byłyby m.in. bytowe sprawy weteranów podziemia. Fakty były bowiem takie, że setki działaczy Solidarności Walczącej za swą aktywność w latach osiemdziesiątych zapłaciły bardzo wysoką cenę. Wielu podupało na zdrowiu, popadło w finansową ruinę, nie ukończyło studiów, nie miało pracy. Dla każdego konspiracja oznaczała ocean poświęconego czasu, co przekładało się na pogrzebanie zawodowej czy naukowej kariery, często też utratę przynajmniej części możliwości zarobkowania. Jacek Podlejski zaferował wtedy pomoc prawną, Winek (nie pamiętam już nazwiska, reemigrant z Australii) proponował wsparcie w procedurze otrzymywania mieszkań komunalnych dla ludzi nie mających gdzie się podziąć. Ktoś miał się zająć świadczeniami zdrowotnymi itd. Do sformalizowania tej działalności nie doszło z kilku przyczyn, do których należała i taka, że działacze Solidarności Walczącej coraz częściej spotykali się na pogrzebach. W tym także tych, którzy najbardziej angażowali się w tworzenie zrębów stowarzyszenia.

O rozwiązaniu Partii Wolności zdecydowaliśmy w roku 1996. Dzięki temu niektórzy z nas odnaleźli się potem w bliskich im organizacjach politycznych. W przypadku Maćka Frankiewicza dołączenie do Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego umożliwiło objęcie stanowiska wiceprezidenta Poznania. We Wrocławiu ludzie Solidarności Walczącej nie mieli już wówczas swego loka-

lu, wcześniej znajdującego się przy ul. Kotlarskiej a potem przy pl. Św. Macieja. Rolę niemożliwą do przecenienia zaczęły wtedy odgrywać Mirosława i Iwona Kondratowicz, które wraz z Maciejem Ruszczyńskim udostępniły swoje mieszkanie dla cotygodniowych spotkań ludzi Solidarności Walczącej. W ciągu kilkunastu lat spotkań tych było kilkadziesiąt osób. Gościnne progi mieszkania przy ul. Sępa Szaryńskiego (a potem Księcia Witolda) de facto pełniły rolę ośrodka wzajemnej pomocy i informacji oraz podtrzymywania więzi między ludźmi konspiracji.

W czerwcu 2002 obchodziliśmy XX rocznicę Solidarności Walczącej. Uroczystości były dość skromne a główną ich „platformą medialną” okazał się być miesięcznik „Opcja na Prawo”, redagowany przez Romka Lazarowicza. W społeczno-politycznych realiach pokątnościowego potworka, szumnie zwanego Trzecią Rzeczpospolitą, jakakolwiek informacja o tym wydarzeniu gdziekolwiek indziej niemal w ogóle się nie pojawiła. Krótko potem Romek Lazarowicz założył stronę internetową [www.sw.org.pl](http://www.sw.org.pl). Byłem wśród tych, którzy zaczęli ją wypełniać dokumentami, relacjami, fotografiami. Dzięki zdjęciom z własnego wesela czy wakacji spędzanych z przyjaciółmi z podziemia do galerii portretów ludzi SW dostarczyłem fotografie Teresy i Krzysztofa Zwierzów, Jasi i Maćka Dziubańskich, Jędrka Stadnickiego, Toś-

ka Ferenca, Andrzeja Sztylera... Inni robili to samo, dzięki czemu strona zaczęła się wypełniać i coraz bardziej tętnić życiem. To właśnie dzięki temu dziełu zaczęli też do nas trafiać ludzie, których innym sposobem być może byśmy nie spotkali. Red. Remigiusz Okrasa z dwumiesięcznika „Obywatel” poprosił mnie wtedy o artykuł do wydania specjalnego, poświęconego XXV Roczniczy Sierpnia 1980 i formacjom wywodzącym się z Solidarności. Po raz pierwszy od wielu lat w różnych periodykach i na stronach internetowych zaczęły się wówczas pojawiać obszernie teksty poświęcone Solidarności Walczącej. Wtedy też wrócił temat formalnego powołania do życia stowarzyszenia złożonego z ludzi tej organizacji. Dodatkowym impulsem było powstanie w roku 2005 dolnośląskiego oddziału Stowarzyszenia Wolnego Słowa, w którym oczywiście znalazło się grono działaczy SW.

Przełomem były obchody XXV Roczniczy Solidarności Walczącej. Centrum przygotowań znajdowało się w siedzibie firmy Michała Gabryela przy ul. Komandorskiej. Od pierwszego ze spotkań Komitetu Organizacyjnego, utworzonego latem 2006, dla wszystkich było jasne, że ich owocem mają być nie tylko obchody, ale i formalne powołanie do życia Stowarzyszenia Solidarność Walcząca. 17 stycznia 2007 w siedzibie firmy Waza przy ul. Komandorskiej w tym właśnie celu zebrało się kilkudziesięciu działaczy SW z kilku regionów Polski. Zaakceptowali oni Statut,

nad którym dyskutowano i do którego uwagi zgłaszano od wielu już miesięcy. Zebrani wybrali też przewodniczącego, Zarząd, Komisję Rewizyjną i przyjęli plan działalności na najbliższe lata. Rejestracja w sądzie miała miejsce 21 czerwca 2007.

**Po dziesięcioleciach coraz trudniej mi odtworzyć nie tylko wydarzenia z czasów konspiracy, ale też te z początku lat dziewięćdziesiątych. A wtedy też dochodziło do sytuacji niezwykłych. Ich ośrodkiem był głównie pierwszy jawny lokal środowiska Solidarności Walczącej, który w roku 1990 zaczął działać we Wrocławiu przy ul. Kotlarskiej. To w nim po raz pierwszy spotkały się ze sobą setki ludzi często przez wiele lat działających w tej samej organizacji, ale nie mających wcześniej ze sobą bezpośredniego kontaktu. Przeżycia z tamtego miejsca i czasu trudno porównać z cymkolwiek innym. To tam należący do innych „odnóg fraktala” czy przez lata utrzymujący ze sobą kontakt przeróżnymi kanałami konspiracji, po raz pierwszy spotykali się osobiście. Czegoś takiego doświadczyć mogli tylko ludzie ujawniający się i spotykający ze sobą po długim czasie podziemnej działalności. Te bezprecedensowe i dostępne jakże niewielu sytuacje warto byłoby udokumentować. Spisać, zanim zetrą się w naszej pamięci.**

## Forum rumuńsko-mołdawskiej jedności

JAN LECH SKOWERA



■ Takim mianem bez wątpienia można nazwać Forum Gospodarcze Kiszyniów 2023, jakie zostało zorganizowane w stolicy Mołdawii w dniach 22-23 lutego b.r. z inicjatywy Jego Królewskiej Wysokości Księcia Rumunii Radu.

Media informują nas o coraz to nowych incydentach w Mołdawii, a nawet o jakichś zamiarach obalenia rządu. Do nich jeszcze wrócimy. Ale teraz zwróćmy uwagę na Forum Gospodarcze, którego głównym realizatorem była Rumuńska Rodzina Królewska. Im więcej jest prób destabilizacji sytuacji w Mołdawii, tym więcej należy okazywać solidarności z nią. Skoncentrowani jesteśmy na wojnie na Ukrainie, więc „destabilizatorzy” sytuacji w Europie chcą otworzyć kolejny front konfliktu, właśnie w Mołdawii.

Obecność Księcia Radu i wielu przedstawicieli rumuńskiej administracji rządowej w Kiszyniowie pokazało, że Mołdawia nie jest sama. Przyłączyła się do tego również strona polska. W Forum uczestniczyła delegacja samorządowo-społeczna z Dolnego Śląska. Na jej czele stali dwaj wice-marszałkowie Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego, pan Marcin Krzyżanowski i pan Grzegorz Macko. Towarzyszyła im przedstawiciel Agencji Rozwoju Aglomeracji Wrocławskiej pani Ilo-

na Ewa Czupta, przedstawiciele firm, głównie operujących już na tamtejszym rynku, oraz stowarzyszeń – Polskiej Konfederacji Katolickich Przedsiębiorców, inicjatora uczestnictwa polskiej delegacji w Forum oraz Konfederacji Spiskiej.

Przybyłych gości z Rumunii i Polski miała przywitać Prezydent Mołdawii Pani Maia Sandu, ale jak wiemy przebywała w tym czasie w Warszawie, podczas wizyty Prezydenta USA Joe Bidena. W jej zastępstwie w Forum uczestniczył Premier Mołdawii Dorin Recean oraz

Przewodniczący Parlamentu Mołdawii Igor Grosu.

Dodatkowo organizatorzy zaproponowali uczestnikom Forum wizytę w miejscowości Mașcăuți, leżącej prawie na granicy z tzw. Transnistrią (Naddniestrzem), samozwańczą republiką. Dla relacji polsko-mołdawskich była to bez wątpienia bardzo owocna wizyta, ponieważ przedstawiciele podwrocławskiej Gminy Czernica zawarli porozumienie z władzami Gminy Mașcăuți o nawiązaniu współpracy partnerskiej. Prezes firmy Liadur sp. z o.o. pan Piotr

Urbanowicz obiecał młodzieży tamtejszej szkoły ufundować stroje gimnastyczne i doposażyć ją w sprzęt sportowy.

Kiszyniów na powitanie sprawiał wrażenie bardzo spokojnego, zadbanego, tętniącego życiem miasta, chociaż z wyraźnym odczuciem, iż nie jest to serce, lecz obrzeże Europy. Z dala od głównych szlaków turystycznych. Może z tego też względu zaciekał nas trochę obraz korzystających z uroków najlepszych i wcale nie tanich hoteli turystów

Dokończenie ze str. 5 ►

o wyglądzie i zachowaniu robotników sezonowych, nieodmawiających sobie różnych przyjemności. Posługiwali się językiem „mówionym cyrylicą”, twierdzących, iż są Mołdawianami, ale paszporty mieli jakieś azjatycko-bliskowschodnie. Zastanawialiśmy się z naszymi przyjaciółmi nad tym fenomenem, jednak gdy po powrocie do domu dowiedziałem się z mediów o nowych demonstracjach w Kiszyniowie, wszystko stało się jasne. W końcu ktoś to musi organizować!

Nikt nie ma złudzeń, także obóz patriotyczny w Mołdawii, jaka powinna być przyszłość tej podzielonej, historycznej krainy, oddzielonej od państwowego rumuńskiego pnia. Parlament przed dwoma dniami przyjął ustawę uznającą język mołdawski za język rumuński. Dla wszystkich było to oczywiste z wyjątkiem mołdawskiej lewicy – niby formal-



ność, a jednak fakt bardzo znaczący. O innej polityczno-społecznej okoliczności prawie się nie mówi – osiemdziesiąt procent Mołdawian posiada obywatelstwo Rumunii. Można pokusić się o takie stwierdzenie: Mołdawianie zagłosowali już paszportami na rzecz swojej państwowej przynależności. W tym przypadku powinno być podobnie jak

z NRD – Mołdawia powinna zostać inkorporowana przez Rumunię, za zgodą całej społeczności międzynarodowej. Sprawa Nadnistrza nie będzie trwać wiecznie, to znaczy tak długo, dopóki Rosja nie przegra na Ukrainie.

W tydzień po wizycie JKW Księcia Radu w Kiszyniowie wizytę oficjalną w Bukareszcie złożył premier Mołdawii

Dorin Recean, któremu towarzyszyło czterech najważniejszych ministrów jego rządu. Delegacja rządu Mołdawii została przyjęta przez Jej Królewską Wysokość Małgorzatę.

**Z nieskrywaną satysfakcją należy stwierdzić, iż niedostrzegalni medialnie i społecznie monarchiści w pełni przyczynili**

**się do organizacji tego tak bardzo owocnego Forum Gospodarczego w Kiszyniowie. Głównym realizatorem idei zgłoszonej przez Księcia Rumunii Radu był jeden z czołowych monarchistów z Transylwanii Claudiu Padurean, a udział polskiej delegacji w tym wydarzeniu inspirowali z kolei polscy monarchiści.**

## „Nigdy z królami nie będziem w aliansach...”

■ Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi / Bo u Chrystusa my na ordynansach / Słudzy Maryi”



ANDRZEJ MANASTERSKI

Pieśń Konfederatów Barskich autorstwa Juliusza Słowackiego z dramatu „Książę Marek” oddaje ducha jakim kierowali się polscy patrioci, którzy w lutym 1768 r zawiązali w Barze na Podolu konfederację „na ratunek Ojczyzny, Wiary i Wolności praw i swobód narodowych do upadku nachylonych”.

Druga połowa XVIII wieku jawi się jako czas, w którym Rzeczpospolita, rządzona przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, stawała się coraz bardziej zależna od Rosji. Marionetkowość Poniatowskiego wobec carycy Katarzyny II szła w parze z jego walką z polską tradycją wolności narodowej i religijnej. Przeciwników szukał nie wśród jawnych zdrajców Polski, którzy nie kryli się ze swoimi kontaktami z ościennymi państwami, a wśród tej części społeczeństwa, którzy dążyli do uniezależnienia Ojczyzny od obcych. Rosja, zanim jawnie wystąpiła przeciwko Polsce, zastosowała prowokację. W 1766 r pod pretekstem jakoby w Rzeczypospolitej nie były przestrzegane prawa dla innowierców i brak tolerancji religijnej, zażądała możliwości utworzenia stronnictwa skupiającego szlachtę nie-katolicką, dysydencką. W jej obronie w następnym roku wojska rosyjskie wkroczyły w granice Rzeczypospolitej. Utworzone w Stucku konfederacje szlachty kalwińskiej i prawosławnej oraz w Toruniu szlachty protestanckiej, okazały się zbyt słabe do planu Rosji, by wymóc na Sejmie stworzenia specjalnych praw dla innowierców. Ambasador rosyjski w Warszawie Mikołaj Repnin zwrócił się zatem do opozycyjnej wobec Poniatowskiego części magnaterii, która zawiązała pod wodzą Krzysztofa Radziwiłła konfederację radomską, w obro-

nie rzekomo zagrożonej „złotej wolności”. Jako antidotum miała być detronizacja Poniatowskiego. Pogląd, że Katarzyna II postanowiła „bronić wolności w Rzeczypospolitej” był tak wielki, że konfederacji zdecydowali się „upichcić” ustawę obalającą króla. Ale caryca wcale takiego zamiaru nie miała. Pieczęć na podwójnym ogniu – stawała się coraz bardziej obecna w rozstrzygnięciu polskich spraw, osłabiając tym samym pozycję instytucji państwowych w Polsce (w tym króla) oraz wciągając w zasadzkę opozycję wobec Poniatowskiego, dążąc do jej rozbicia. Bo Poniatowski dla Rosji był gwarantem jej obecności w Polsce. Aby zastraszyć postów opozycji, ambasador rosyjski polecił aresztować i zesałać w głąb Rosji bpa krakowskiego Kajetana Sołtyka, bpa kijowskiego Józefa Andrzeja Załuskiego oraz hetmana Wacława Rzewuskiego. Pod osłoną rosyjskich bagnetów obradujący w Warszawie sejm, przyjął narzucony Rzeczypospolitej „prawa kardynalne”. Nawiązując do artykułów henrykowskich i późniejszych ustaw sejmowych z zachowaniem „liberum veto”, w rzeczywistości stawały się „prawa kardynalne” kajdanami dla wolności Rzeczypospolitej, bowiem ich przestrzeganie miało być gwarantowane przez Rosję. Co więcej, prawa kardynalne miały być „stałe i niezmiennicze”, co uniemożliwiałoby w przyszłości przeprowadzenie jakichkolwiek reform w kierunku naprawy państwa. Rzeczpospolita stała się zależna od Rosji. Ten stan nie został zaakceptowany przez tę część społeczeństwa, które – stojąc na pozycji zachowania tradycyjnych zasad prawnych demokracji szlacheckiej i wiary katolickiej, nie mogło pogodzić się z zależnością od sąsiedniego



państwa. 29 lutego 1768 r została zawiązana konfederacja. Słabość sił konfederatów, którzy w części byli wspierani przez wojska królewskie, starali się wykorzystać Rosjanie stacjonujący w Polsce. Na Podole ruszyły oddziały rosyjskie, które zdobyły min. Berdyczów i Bar. Część konfederatów znalazła schronienie w Mołdawii. Mimo tego, konfederacja zawiązana w Barze znalazła kontynuatorów w innych województwach, co uniemożliwiałoby Rosji uzyskać pełnej swobody manewru. Co więcej, wybuch wojny rosyjsko – tureckiej i żądania Turcji, by Rosja odstąpiła od udzielonych praw kardynalnych, dawało nadzieję na sukces. Niestety, Turcja sama w tym momencie potrzebowała wsparcia i nie mogła przyjąć Rzeczypospolitej z pomocą. Dodatkowo Rosjanie podburzali chłopów na terenach ogarniętych walkami, by ci występowali przeciwko szlachcie. Bunt Gonty i Żeliźniaka, koczacy przywódcy chłopów ukraińskich, był skierowany nie tylko przeciwko szlachcie, ale i Żydom. W Humaniu rebelianci wymordowali ok. 30 tys. ludzi – szlachtę, mieszczan, katolików, grekokatolików, Żydów. Nie oszczędzono kobiet, dzieci, ani starców. Rozochoceni „sukcesem”, rebelia mogła rozszerzyć się na teren Rosji. Caryca uznała, że sytuacja wymyka się jej spod kontroli i wspólnie z wojskami Poniatowskiego, rozpoczęto tłumienie rebelii.

Umiędzynarodowienie sprawy polskiej przyniosła nie tylko wojna rosyjsko – turecka. W 1769 r Francja zaktywizowała swoje stanowisko, organizując pomoc pieniężną i wysyłając na pomoc konfederatom broń. Dodatkowo do Polski przybył korpus oficerów francuskich, w charakterze doradców wojskowych na czele z Charlesem Dumouriez. Konfederaci, nauczeni wcześniejszym doświadczeniem, utworzyli jednolite kierownictwo, zwane Generalnością, która reprezentowała ich na zewnątrz. Pozyskaną pomoc wykorzystali do stworzenia szeregu fortyfikacji w Małopolsce. Nie udało się natomiast wznieść powstania na Litwie, natomiast w Wielkopolsce odniesiono jedynie kilka mniej znaczących zwycięstw. Brakowało jedności w działaniu i silnego kierownictwa, które sterowałoby walkami. Także pod wzglę-

dem wyszkolenia wojskowego wojska rosyjskie górowały nad polskim ruszeniem szlachty. Do tego dochodził brak zdecydowania działań wobec Poniatowskiego. Co prawda konfederaci ogłosili jego detronizację 22 października 1770 roku, jednak kiedy dokonali jego porwania rok później, zdecydowali się go wypuścić. Poniatowski, przetrzymywany kilka godzin w jednym z pomieszczeń, został wypuszczony i powrócił samotnie do zamku. Sromotny obraz upadku zarówno Poniatowskiego, jak i jego przeciwników, którzy nie zdecydowali się wymusić na nim detronizację. Ale i tak propaganda rosyjska zrobiła wszystko, by ukazać ich w jak najgorszym świetle w Europie. Wynajęci przez Katarzynę II publicyści francuscy i niemieccy tworzyli sążniste artykuły o „polskiej rewolucji”. To za ich sprawą, Rzeczpospolita stawała się „chorym” państwem w Europie, z nieukrywanym przeświadczeniem, że należy tej chorobie się przeciwstawić. To był jeden z tych czynników który sprawił, że Europa milcząco akceptowała rozbiory. Bo los Polski po upadku konfederacji został przesądzony. Rosja, aby uniknąć oskarżenia o samowolę względem Rzeczypospolitej, do spółki weszła z Austrią i Prusami. Ta pierwsza zresztą już wcześniej zajęła w 1770 roku Spisz i powiaty: nowotarski, nowosądecki i czorsztyński.

**Ostatnim punktem oporu była twierdza jasnogórska, która skapitulowała 18 sierpnia 1772 r. Ujętych do niewoli konfederatów, Rosjanie zesłali w głąb Rosji, część z nich sprzedali naszym niewolnikom Prusom.**





# Damage control, czyli wyzwania przekładu



Waldemar Żyszkiewicz  
**ZANIM  
WYŁĄCZĄ PRĄD**

■ Angielskie wyrażenie w tytule znaczyło kiedyś tyle co „minimalizowanie szkód” i szło jedynie o ograniczenie realnych zniszczeń wyrządzonych przez żywioły i/lub kataklizmy: pożary, huragany, powodzie, śnieżyce, trzęsienia ziemi, tsunami. W epoce dominacji mediów globalnych idzie raczej o minimalizację szkód wizerunkowych. I nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie fakt, że coraz częściej za te „szkody” uważa się ujawnienie prawdy.

Stosunkowo świeżym powodem wdrożenia procedury *damage control* stały się fragmenty zarejestrowanych z ukrycia rozmów z Jordonem Trishtonem Walkerem, menedżerem średniowysokiego szczebla zarządu globalnego koncernu farmaceutycznego Pfizer. Podczas serii specyficznych randek dyrektora Walkera, który sprawia przemożne wrażenie, że jest mężczyzną niefanatycznym, doszło do ujawnienia, że tematem takich jednostronnych randek mogą być problemy nader subtelnych różnic między „metodą wzmacniania funkcji” (ang. *gain-of-function*) a „ukierunkowaną ewolucją” (ang. *directed evolution*) odzwierzcących patogenów.

Po ujawnieniu dwuznacznej roli części tzw. autorytetów, w tym zwłaszcza Duńczyka Kristiana G. Andersena, po stanowczo zbyt późnym odejściu Anthony’ego Fauciego, po coraz liczniejszych głosach o bumerangowym efekcie masowego stosowania preparatów typu mRNA (nasilone fale zapaleń mięśnia sercowego u ludzi młodych i wysportowanych, udary i zakrzepice, problemy z donoszeniem ciąży) zachodnia opinia publiczna z taką problematyką zdążyła się już nieco oswoić... Pewną rewelacją pozostaje wyszkoleń odkrycie, że eksperymi wyszły dotąd ważne raczej dla sił zbrojnych niż dla cywilnego leczenia prowadzą już nie tylko wyspecjalizowane biolaboratoria, lecz firmy, których deklarowanym celem jest ponoć produkcja farmaceutyków. Warto może przypomnieć, że dyrektorem w sprawie podjęcia działań obronnych przed zagrożeniem USA bronią biologiczną George Walker Bush podpisał 12 czerwca 2002 roku.

## Strategia Pfizera z powodu gadatliwości Walkera

Po pierwszym szoku – scena w rodzaju „łap kasetę i w nogi” sprawa naprawdę wrażenie kiepskiej inscenizacji – koncern Pfizer wdrożył procedurę „minimalizowania szkód” wy-

nikłych z nazbyt szczerych wnużeń Jordona T. Walkera. Ciekawość wydaje się fakt, że ekstrawertyczny menedżer najpierw oświadczył, że to, co mówił, było kłamstwem, obliczonym na wywarcie mocnego wrażenia na rozmówcy, a następnie zaczął się odwoływać do prawa, które nie pozwala filmować osób bez ich zgody. W każdym razie Walker był ewidentnie przerażony dokumentacją filmową, potwierdzając tym samym wiarygodność swoich rewelacji. Gdyby tylko nakłamał i coś tam nazmyślał, nie miałby przecież żadnych powodów do obaw.

Charakterystyczne też, że wyciągnięty po roku z szafy prof. Krzysztof Pyrc powiedział tylko, że „nie udało się potwierdzić tożsamości osoby mającej być tym menedżerem Pfizera”... Jak na jego elokwencję, to dość skromnie, ale cóż, kiedy szefostwo firmy jednak się od J.T. Walkera odciąć nie dało rady. W zamian pozostało instrukcje dla pracowników, jak reagować na pytania w tej sprawie przy kontakcie z mediami. To oczywiście nie wszystko. Skoro nie można z jednej, to trzeba uderzyć z drugiej strony, więc w różnych światowych mediach głównego nurtu poszła seria materiałów dezawuuujących... tak, Tuckera Carlsons, który raport reporterów O’Keefe’ego nagłośnił.

Bardzo umiarkowanych lotów gazeta „Toronto Star” ostrzegła przed Carlsonem, że podżega Stany do inwazji na Kanadę. Pomysł jak pomysł, bo nie wydaje się, żeby administracja Joe’ego Bidena była skłonna pójść za wezwaniem bardzo popularnego wśród zwyczajnych, rozsądnych Amerykanów komentatora telewizji Fox News. Z kolei w jednej z duńskich gazet rozpisywano się o faktycznie sporym majątku dość prominentnej od przeszło dwóch dekad postaci amerykańskiego rynku mediów elektronicznych (CNN, PBS, MSNBC, od listopada 2016 Fox News Channel). Należy jednak sądzić, że to konserwatywne poglądy tego komentatora, uznanego za czołowego promotora

trumpizmu oraz jego skłonność do podejmowania tematów politycznie niewygodnych, ideologicznie drażliwych i przez liberalną Amerykę często uznawanych za tabu, a nie wysokie roczne dochody z telewizji Fox News czy tantiemy za dobrze sprzedające się książki, są główną przyczyną niechęci progresywiści do Tuckera Carlsons. Natomiast w ostatnich atakach na niego, tuż po „przygodzie” Jordona T. Walkera z reporterem z grupy Project Veritas, należy widzieć element strategii przeciwdziałania koncernu Pfizer niewątpliwym stratom wizerunkowym poniesionym z powodu zbyt gwałtowności jednego z ich menedżerów średniego szczebla.

## Grupy szybkiego zagadywania prawdy

Współcześnie najszybszym z elektronicznych multimediów, w dodatku umożliwiającym wzajemne oddziaływanie użytkowników na siebie, pozostaje Internet. Specyfika sieci sprawiła, że powstały też narzędzia do likwidacji czy minimalizowania szkód wizerunkowych powstałych wskutek wycieku prawdziwych, choć z punktu widzenia zainteresowanych niepożądanych informacji, których ujawnienie w żadnym razie nie zamierzano. Takim swoiście sieciowym narzędziem szybkiego reagowania i „likwidowania szkód” są grupy tzw. fact checkerów (ang. *fact checkers*).

Pisząc o nich poprzednio, nazwałem ich po polsku „weryfikatorzy faktów”. Mimo dosłownego przekładu oryginalnej nazwy angielskiej chyba niezbyt szczęśliwie, bo polski odpowiednik może sugerować, że idzie o wnikliwą grupę analityków, którzy badają materię mylącej czy skłamanej wiadomości i stosownie do wyniku swych rozpoznania fejk-njusa przerabiają w rzetelną informację. Nic bardziej mylnego. Owi fact-checkerzy niczego nie badają, działając jedynie na poziomie językowym, głównie zresztą według zasady: *jeśli podczas*

*kradzieży złapią cię za rękę – mów, że to nie twoja ręka.*

Oczywiście, elementy takich operacji specjalnych pojawiały się już wcześniej, ale dopiero owe dwa lata zadekretowanej pandemii bez pandemii sprawiły, że potrzeba gaszenia „pożarów prawdy” czy usuwania „dysonansów poznawczych” mocno się nasiliła, mnożąc grupy rozmaitych „fake-hunterów” oraz niezbędnych „pogromców teorii spiskowych”. Dziś już wiadomo, że najbliższe faktycznego przebiegu procesów, które ukształtowały losy świata podczas ostatnich dwóch lat, były właśnie te interpretacje zdarzeń, które bez pardonu opatrywano mianem teorii spiskowych, a które w istocie opisywały z grubsza spiski funkcjonujące w praktyce.

## Weryfikatorzy faktów czy pogromcy niewyparzonych języków?

Przykłady? Proszę bardzo: Gdy w ostatnim dniu urzędowania Borisa Johnsona w witrynie rządu Jej Królewskiej Mości pojawiły się nagle dane wskazujące, że w brytyjskich szpitalach na oddziałach kowidowych zdecydowanie przeważają osoby zaszczepione, mimo że szczepionka miała być skuteczna i bezpieczna!... Gdy Albert Bourla nie mógł w marcu roku 2021 wjechać do Izraela, bo nie był „jeszcze w pełni zaszczepiony”... Gdy okazało się, że według danych VAERS liczba niepożądanych zdarzeń poszczepiennych po preparatach mRNA przewyższa liczbę wszystkich zarejestrowanych w Stanach NO-P-ów z poprzednich lat trzydziestu... Gdy Japończycy zakwestionowali bezpieczeństwo iniekcji mRNA, opierając się zresztą na materiałach z wewnętrznego raportu Pfizera, albo gdy w jednym z kanadyjskich szpitali połączonych liczbą poronień korespondująca z terminem kowidowych „wyszczepień” zaalarmowała w najwyższym stopniu kierownictwo tej placówki... I gdy badania laboratoryjne wykazywały obecność białka szczytowego wirusa (czyli białka Spi-

ke) w mleku karmiących matek, wcześniej potraktowanych preparatem mRNA.

Właśnie w takich przypadkach ruszali zaraz do boju ci zahartowani, jak o nich mówić? Weryfikatorzy faktów? No, chyba nie... należałoby ich raczej nazwać strażnikami zagrożonego wizerunku, pogromcami niewyparzonych języków, siermiężnymi wojami, którzy zręcznie obracając językiem, mieli chronić szeroką publiczność przed tzw. prawdą nienależną, która mogłaby niepotrzebnie utrudniać zwykłym ludziom „bezproblemowe” życie w niewiedzy...

Owi szermierze oszczędnego gospodarowania prawdą ruszyli też w bój, gdy w połowie zeszłego roku pani Nuland podczas przesłuchań w senacie USA zacukała się w sprawie amerykańskich biolaboratoriów na Ukrainie. Dla osoby z jej wiedzą, pewnością siebie, już wcześniej znanej ze swobody wypowiedziania się, tamto dukanie tłumaczy się jedynie tym, że na docieklive pytanie Marca Rubio, republikańskiego senatora z Florydy, (a nie gubernatora tego stanu Rona DeSantis), prawdy ujawnić nie chciała, a z kolei zbyt ostentacyjne kłamstwo musiałoby zakończyć jej polityczną karierę, więc... coś tam tylko pogadywała, nie mówiąc w istocie niczego. Senator Rubio podrzucił jej wtedy koło ratunkowe, a zastępy nie tyle „weryfikatorów faktów”, lecz raczej „zamazywaczy prawdy” dopełniły dzieła. I biolaboratoria na Ukrainie przestały wnet absorbować opinię publiczną.

**Jacek Frankowski, wnikliwy obserwator naszej współczesności, uprawiający publicystykę nie tylko piórem, lecz i piórkiem, jako rysownik obdarzony mocnym poczuciem humoru, aż do sarkazmu włącznie, nazywa tych zamazywaczy prawdy faktczekistami. Trafiając chyba w sedno, a także świetnie nawiązując do brzmienia ich angielskiego miana.**

## Wywiad

MAREK BOBER



# Każdy człowiek zasługuje na kawałek spokojnego nieba

Z Marią Pyż, redaktorką naczelną Polskiego Radia Lwów, rozmawia Marek Bober

**– Kiedy rozmawialiśmy na początku ub. roku tuż po rozpoczęciu przez Rosję wojny z Ukrainą, nazwała pani Władimira Putina świrem. Nadal pani tak sądzi?**

– Jakkolwiek byśmy nazywali rosyjskiego dyktatora, to nie ma większego znaczenia. Tak, jest świrem, oprócz tego jest nieobliczalny; on czuje, że traci władzę i to wszyscy putinoznawcy wiedzą. Można to prześledzić na przykładzie tego, że boi się publicznych wystąpień, boi się wyjść do ludzi a także nieczęsto występuje na jakichkolwiek zgromadzeniach; a jeżeli już tak, to są one bardzo ograniczone ze szczegółową kontrolą. Oprócz tego, z obecnym dyktatorem czy bez niego, Rosja od wieków prowadzi tę samą politykę. Chodzi o zagarnięcie cudzych ziem a także o to, aby narzucić obcą nam i całej Europie ideologię. Nie ma większego znaczenia, kto Rosją kieruje – czy car, czy przywódca, czy też dyktator. Zawsze było i jest, jak widzimy, tak samo. Te rzeczy trzeba zwalczać i nie dopuścić do tego, aby ta zaraza – przynajmniej tak nazywana od XX wieku – rozlała się po całej Europie.

**– Po co Rosji ta wojna? To nienawiść do Ukrainy i Ukraińców? Czy chcą Ukrainę podzielić? A może zagarnąć całą? Czy chcą zrównać z ziemią cały kraj i wymordować najwięcej ludzi ile się da? Co oni chcą osiągnąć?**

– Nie chodzi o jakąś nienawiść do państwa czy narodu. Tu chodzi o strefy wpływu. Oczywiście, że najlepiej byłoby zagarnąć całą Ukrainę i wylądować u bram Europy. Ale..., nie tak szybko, nie tak prędko... Dołożymy wszelkich starań, aby tak się nie stało. Chodzi o zrównanie całego kraju z ziemią a przede wszystkim o czerpanie zysków z tego kraju. Przecież na wschodzie Ukrainy są kopalnie, są fabryki i to wszystko jeszcze do niedawna działało. Jak obecnie jest pod okupacją? Co się dzieje? Nie do końca możemy wiedzieć. Wiemy, że kopalnie, fabryki, magazyny i sklepy są niszczone. Bardzo często jest to podawane w mediach lub są przemycane fotografie z terenów pod okupacją, co grozi ludziom śmiercią. Być może chodzi nie tylko o wymordowanie jak największej liczby ludzi, ale o sam fakt zastraszenia. Zastraszania wszystkich na terenie Ukrainy, a także w Europie czy nawet w Stanach Zjedno-

zonych. To jest polityka, po prostu, dzieł i rządów. Polityka strachu, polityka, kiedy człowiek nie ma żadnego głosu i od człowieka nic nie zależy. Kiedy człowiek powinien siedzieć cicho, bać się i pracować na rzecz państwa, jeśli tak Rosję można określić.

**– W 2014 r. Ukraina oddała Krym, praktycznie poddając się, bez chyba jednego wystrzału. To wyglądało bardzo upokarzająco. Co się teraz, przez te osiem-dziewięć lat, zmieniło, że armia stawia zacięty opór?**

– Tak, to wyglądało bardzo nieładnie i bardzo upokarzająco, jak pan to określił. Nie zapominajmy, że na Krymie stacjonowała i teraz też stacjonuje flota rosyjska. Jest to flota dobrze uzbrojona, flota, która ma rakiety balistyczne. Przez te lata zmieniło się wiele, dlatego że od 2014 roku na terenie Ukrainy wojska ukraińskie były szkolone przez żołnierzy NATO. Były różne grupy zadaniowe – z Ameryki, Kanady, Anglii czy Polski. Szkolenia odbywały się na różnych poligonach na terenie Ukrainy. Jeżeli chodzi o obwód lwowski, to takie szkolenia miały miejsce przez wszystkie te lata na terenie poligonu w Jaworowie, który został zbombardowany na początku pełnowymiarowej wojny w 2022 roku. Jak pokazuje doświadczenie z autopsji, niby największa armia świata, armia, której boją się wszystkie kraje wcale nie jest taka potężna, dlatego że ukraińscy żołnierze a także bataliony międzynarodowe, które znajdują się na terenie Ukrainy skutecznie zwalczają wojska rosyjskie. Straty w ludziach są naprawdę przeogromne ze strony ukraińskiej, jak i ze strony rosyj-

skiej, które są w tym samym czasie trzy razy większe. Nie mamy dokładnej liczby rannych osób, ponadto nie każdą osobę da się wydstać z pola walki. Zmiany są ogromne, zmiany są widoczne, a przede wszystkim bez szkoleń przez żołnierzy NATO i grupy zadaniowe Ukraina dzisiaj, tak myślę, by sobie nie poradziła. Przecież według planu Putina zdobycie Kijowa miało się odbyć w dwa dni i tam miała wisieć flaga rosyjska. Na szczęście nie udało się i zrobimy wszystko, aby nigdy do tego nie dopuścić. Jak mówią znajomi dziennikarze z Kijowa, gdyby Rosjanie podjęli próbę zdobycia miasta, to zostaną w tej ziemi na zawsze. I tego się trzymajmy. Tak było w lutym i marcu 2022 r. a teraz odbywają się szkolenia obrony pod Kijowem, pod stolicą Ukrainy.

**– Obecna wojna trwa rok. Czy to jest życie w ciągłym strachu? Czy człowiek już się uodpornił, przyzwyczaił do sytuacji i żyje z dnia na dzień?**

– Zgadza się, obecna wojna trwa rok. Nie jest to życie w ciągłym strachu, ani nie jest to życie z dnia na dzień. Po prostu człowiek jest w stanie – jak to się mówi – przyzwyczaić się do wszystkiego i taka jest prawda. Przekonaliśmy się o tym i działamy na co dzień. Robimy to, co robiliśmy przedtem, pracujemy, czasem nie ma dostaw prądu, nie było dostaw wody a niektóre miejscowości nie mają dostaw gazu. Nie zawsze dom jest cały, jeżeli mówimy o wschodniej Ukrainie. Na chwilę obecną, w częściowo zrujnowanych domach żyje ponad 2,5 miliona ludzi, obywateli Ukrainy. Część z nich zwróciła



Podczas rozmowy z wicepremierem i ministrem Piotrem Gliškim, Cmentarz Obrońców Lwowa, 2022 r. Fot.: archiwum



Red. Maria Pyż: "Każdy stara się nie myśleć o wojnie, dlatego że gdybyśmy żyli w ciągłym strachu, to można byłoby zwariować." Fot.: archiwum

się o rekompensatę do państwa ukraińskiego, a część, która ma niestety gorsze życie, bo jest pod okupacją, jeszcze tego zrobić nie mogła, ale mamy nadzieję, że to szybko nastąpi.

**– Lwów stał się z początkiem wojny miastem tranzytowym, przez które przewinęły się miliony osób. Wiele też osób zostało we Lwowie chociaż na chwilę, na czas wojny. Jak to wpłynęło na funkcjonowanie miasta? Jak wygląda życie z taką dużą liczbą ludzi w czasie wojny?**

– We Lwowie są alarmy, ale przeważnie większość ludności nie udaje się do schronów. Wiadomo, dzieci w szkołach udają się do piwnic i do specjalnie przystosowanych pomieszczeń. Przychodnie, sklepy i banki przestają pracować, ale jeżeli zaczyna się alarm we Lwowie jest to nic w porównaniu z alarmem na przykład w Chersoniu, Charkowie czy Zaporozżu. Tam z początku słyszemy kanonadę, z początku jest ostrzał artyleryjski a dopiero później włączają syreny, dlatego że po prostu nie zdążają. Ale sądząc z relacji znajomych, którzy odwiedzają tamte miasta, wioski i okolice, to ludzie do tego też się przyzwyczaili. To jest oczywiście straszne, ale ludzie tak żyją. Pracują targi. Jeździ transport miejski. Każdy stara się nie myśleć o wojnie, dlatego że gdybyśmy żyli w ciągłym strachu, to można byłoby zwariować. Nie powinniśmy do tego dopuścić.

**– Lwów i w ogóle zachodnia Ukraina są – mówiąc ogólnie – trochę łagodniej traktowane przez Rosjan. Były alarmy, były – owszem – ostrzały infrastruktury krytycznej, ale generalnie było spokojnie w porównaniu z zachodnią Ukrainą. Dlaczego tak się dzieje?**

– Na początku wojny we Lwowie krzyżowały się wszystkie drogi i przewinęło się tu naprawdę bardzo wiele milionów ludzi. Ale nie zapominajmy, że do tej pory przez Lwów, ze Lwowa do Przemyśla, pociągami wyjeżdżają uchodźcy. Teraz średnia na dobę to około tysiąca osób. Raz może tych osób być 750, drugi raz 1200. To zależy, jakie miejscowości zostają zajęte lub są bardziej ostrzeliwane. Wiadomo, że przede wszystkim uciekają rodziny z dziećmi, każdy troszczy się o swój byt i po prostu spokój. Każdy człowiek zasługuje na kawałek spokojnego nieba. We Lwowie zostało bardzo dużo ludzi. Mamy specjalne miasteczka kontenerowe, ale też są wszystkie mieszkania wynajęte, jak również miejsca w hostelach. Tutaj ludzie znaleźli pracę, część pracuje zdalnie. Jak to wpłynęło na funkcjonowanie miasta? Większe korki, większe obłożenie restauracji, dlatego że życie we Lwowie kwitnie. Co prawda jest ono ograniczone godziną policyjną, która trwa od godz. 12. w nocy do 6. rano, ale wszystko pracuje, działa i w czasie alarmu jest to niestety zamykane, lecz ludzie starają się po prostu żyć. W centrum miasta chodzą zakochane pary a także grają muzycy, między innymi dzisiaj szłam ulicą Halicką i spotkałam po drodze co najmniej trzech muzyków – jeden z akordeonem, drugi z gitarą a w jednym miejscu stała grupa i śpiewała przy różnych instrumentach. Ludzie chcą normalności, młodzi chcą zabawy i Lwów jest im w stanie to wszystko zapewnić.

Mówiąc o łagodnym traktowaniu zachodniej Ukrainy, to raczej jest złe określenie. Są alarmy, czasami ostrzały infrastruktury krytycznej, ale ukraińska obrona przeciwlotnicza radzi sobie bardzo dobrze. Unieszkodliwienie ponad 80 procent rakiet wroga, to jest ewenement w skali świata. Dlaczego tak się dzieje, że są tylko ostrzały raketowe? To rzecz prosta: nie ma możliwości ostrzału artyleryjskiego. On jest dostępny wyłącznie tam, gdzie są wojska rosyjskie. A wojska rosyjskie są na wschodzie Ukrainy i okupują jej tereny; zostali wypchnięci z obwodu charkowskiego, ale niestety na południu jeszcze są. Obecnie jest bardzo ciężka sytuacja w mieście Bachmut, do miasta nie są wpuszczani ani wolontariusze, ani dziennikarze, bo byłoby to bardzo niebezpieczne. Została tam jedna droga odwrotu, ale jest ona cały czas pod ostrza-



► Iem. W mieście toczą się walki. Mamy nadzieję, że jednak zakończy się to dla Ukrainy pomyślnie a Rosjanie zostaną wypchani tam skąd przyszli.

**– Jaki był dla pani osobiście najtrudniejszy moment wojny? Gdy wojna się zaczęła i wojska rosyjskie atakowały Kijów? Czy na przykład kiedy we Lwowie zawyły pierwsze syreny?**

– Mówiąc o najtrudniejszym momencie wojny, to chyba był to październik 2022 roku, kiedy rosyjskie rakiety trafiły w infrastrukturę krytyczną Lwowa i w całym mieście było ciemno. Po prostu było czarno, jedynie księżyc oświetlał miasto a ludzie mieli „romantyczne” wieczory jedynie przy świecach lub lampkach USB. Nic nie działało, działało tylko radio tzw. suspilne, czyli społeczne, które czasami przekazuje informacje i można się dowiedzieć, kiedy kończy się alarm. Nie zapominajmy, że gdy cokolwiek trafi w infrastrukturę energetyczną alarmu też nie słychać, bo w mieście nie działają głośniki, gdyż są zależne od elektryki. To był 10 października, dokładnie pamiętam datę. To był w ogóle wyjątkowy miesiąc dla Lwowa, gdyż nikt się tego nie spodziewał i nie oczekiwał. Jeżeli mówimy o atakach na Ukrainę, to są one periodyczne, ale widzimy zmniejszenie ilości pocisków, zmniejszenie ilości rakiet balistycznych. Mówimy więc o tym, że potęga rosyjska nie jest aż tak wielką potęgą. Mamy nadzieję, że i rakiety im się skończą i że Rosjanie zostaną wypędzeni do tego miejsca skąd przyszli. A najlepiej jeszcze dalej.

Rosyjski przywódca miał niedawno przemówienie do tzw. zgromadzenia federalnego i między innymi oskarżał Amerykę. Maria Zacharowa, rzecznik rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, oskarżyła zaś prezydenta Bidena o to, że... zło dzieja ciągnie zawsze do miejsca przestępstwa. Generalnie według Moskwy cały świat jest zły, a oni jedynie są dobrzy i niosą pokój. A ten pokój niosą od wieków przy pomocy czołgów, wojska i rakiet. Prezydent Rosji nie powiedział nic nowego, poza tym, że rezygnują z podpisania projektu „nowy START”, a przypomnijmy, że jest to projekt ustanawiający równowagę głowic jądrowych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Wystąpienie Putina mogą krytykować tylko ci, którzy go dokładnie wysłuchali, którzy wystąpienie oglądali lub zobaczyli tłumaczenie samego przemówienia. Nie padły dosłownie żadne deklaracje, zakończyło się wszystko tematem oświaty, nauki, budżetu, itd., czyli generalnie niczym. Nie było żadnej deklaracji co do zakończenia wojny, ba!, nawet więcej, rzecznicy rosyjscy oskarżyli Bidena, że ani w Kijowie, ani w Warszawie nie poruszył tematu rozmów pokojowych. Ciężko jest prowadzić z wrogiem rozmowy pokojowe, gdy on znajduje się na twoim terenie.



Audycja Radia Lwów z 4 lutego 2023. Fot.: archiwum

**– Czy rząd Polski pamięta o Polakach mieszkających na Ukrainie? Otrzymaliście wsparcie i jakąś pomoc?**

– Tak, rząd Polski pamięta o Polakach, pamięta o osobach pochodzenia polskiego mieszkających na terenie Ukrainy. A także pamięta o wsparciu nie tylko nas, a także wszystkich obywateli, dlatego że na Ukrainę, poza oczywiście uzbrojeniem i bronią, jadą w dużej ilości generatory; są one na przykład przywożone przez wicemarszałek Sejmu panią Małgorzatę Gosiewską. Od prezydenta Polski, z Kancelarii Prezydenta, jest ludziom rozdawana pomoc. Jest dowożona pomoc żywnościowa do tych, którym ciężko jest wyjść z domu ze względu na wiek i różne choroby. Prezydent Polski niedawno odwiedził Lwów, był bardzo gorąco i serdecznie witany przez obywateli Ukrainy. Są wspomaganie szpitale i szkoły, nie tylko ze względu na to, że są tam leczeni żołnierze i ludzie ze wschodu, którzy ucierpieli wskutek agresji rosyjskiej. Pamiętajmy, że z tych szpitali mogą korzystać tak samo osoby pochodzenia polskiego. Może im się przydarzyć złośliwość losu, mogą trafić do szpitala i będą potrzebowały tego samego sprzętu, który jest przywożony. Podziękowania więc nasze w stronę Polski za to, że Polacy okazali serce, za to że pamiętają o nas i za to, że na wszelkie sposoby wspierają Ukrainę.

**– Polacy i Ukraińcy mają trudną historię. My na pewno nie zapomnimy ludobójstwa na Wołyniu i Galicji wschodniej. Polacy otworzyli serca, domy i kieszenie dla ukraińskich uchodźców wojennych. O czym to świadczy?**

– Mówiąc o trudnej historii – tak, oczywiście pamiętamy, między innymi w niedzielę, 26 lutego, odbyły się uroczystości w Hucie Pieniackiej. Jest to niedaleko Lwowa, troszkę za Brodami, to jest bardzo mała miejscowość. Ale Huta Pieniacka już nie istnieje na mapie. Odbyły się tam obchody rocznicy mordu. Tutaj mówimy nie tylko o rzezi wołyńskiej, o ludobójstwie na Wołyniu, a także mówimy o obwodzie lwowskim, w którym – jeśli brać pod uwagę statystyki – to miało wymiar mniejszy, na mniejszą skalę, ale to też było ludobójstwo. Mniejsza skala wywodzi się stąd, że jest tutaj po prostu więcej miast a do miast OUN i UPA nie miały takiego dostępu, jak do wiosek, ale metody były te same. We wspomnianą niedzielę udaliśmy się wszyscy, aby uczcić ofiary tej zbrodni. Wcześniej, w sobotę 25 lutego wieczorem, w katedrze lwowskiej odbyła się Msza św. za pomordowanych. Często na tej Mszy są goście z Polski, co roku przyjeżdża pani prezes Stowarzyszenia Huta Pieniacka Małgorzata Gośniowska-Kola. Nie zapominajmy jednak, że osoby publiczne w Polsce, rządzący, jednak boją się wojny, to jest naturalny strach, ale od czasu do czasu nas odwiedzają. Tak było w Zadorzu, gdzie odbyły się uroczyste obchody bitwy zadworzańskiej. Każda rocznica związana z ludobójstwem będzie obchodzona na terenie Lwowa, obwodu lwowskiego, jak i całej Ukrainy, gdzie tylko są miejscowi Polacy, czasami niekoniecznie pamiętający o tym. W czasie wojny obserwujemy ciekawą sytuację, dlatego że Ukraińcy zaczynają sprzątać polskie groby na cmentarzach. Jest to z jednej strony bardzo dobry gest, jest to gest

szacunku, i spotykamy się z naprawdę miłym ustosunkowaniem do Polaków.

**– Zakłada pani scenariusz syryjski, gdzie wojna – wojna domowa, ale z udziałem państw trzecich – trwa już 12 lat i świat już praktycznie o niej zapomniał? Czy Ukrainie grozi kilkanaście lat wojny i wyniszczenia?**

– Nie mam zdania co do scenariusza syryjskiego. Wiemy, że wojna w Syrii trwa, tak samo jak w innych krajach, gdzie są tzw. wojny domowe, konflikty wewnętrzne, bądź – jak to Rosja nazywa – specjalne operacje. Mamy nadzieję, że to się na Ukrainie zakończy o wiele szybciej, dlatego że jest to brama do Europy. Jeżeli się nie zatrzyma Rosjan, to pójdą dalej. A kiedy pójdą dalej? To zależy od tego jak tylko zbiorą swoje wojska i poczują się silniejsi. Wiadomo, zawsze od wieków, jeżeli czuli się bezkarni, to szli dalej. Oni w tym momencie też tak się czują, ale mam nadzieję, że to się bardzo szybko skończy.

**– Jak funkcjonuje Polskie Radio Lwów w czasie tej wojny?**

– Polskie Radio Lwów funkcjonuje w czasie wojny tak samo jak do tej pory. Oczywiście, zmieniła się troszkę ramówka. Jest więcej informacji z frontu, są informacje od ludzi, którzy zamieszkują tereny przyfrontowe. Staramy się dzielić też bardzo pozytywną informacją. Mamy czas na kulturę, dlatego że trzeba podtrzymać morale, co staramy się robić. Oprócz tego radio postawiło na oświatę i na edukację słuchaczy. Jest taki moment, kiedy ludzie słuchają Radia Lwów i mogą zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości.

To jest bardzo ważne. W czasie wojny bardzo ważna jest kultura. Ważna jest edukacja dzieci. Nadal jest prowadzona szkoła młodego dziennikarza. Mamy stały kontakt z naszymi słuchaczami i uspokajamy nastroje, dlatego że na początku wojny podjęliśmy decyzję, żeby zostać z radiem w tym celu, aby uspokoić nastroje ludzi, aby być z nimi, aby pokazać jedność. Radio ma także kolejną funkcję, zajmuje się pomocą humanitarną, wysyłaliśmy ją chyba do każdego obwodu Ukrainy. Oczywiście, przy pomocy ludzi z Polski i Europy. Mamy wielkie, wielkie podziękowania dla ofiarodawców. Staramy się też wysłać różne potrzebne rzeczy do żołnierzy na front, do naszych znajomych, do ludzi, którzy znaleźli się w mniej ciekawej sytuacji na terenach przyfrontowych, którzy potrzebują po prostu ciepłej odzieży, generatora, rękawiczek, czasami termowizji; czasami człowiek potrzebuje tylko jedzenia i żeby czymś się ogrzać. Najgorsza sytuacja w tym przypadku jest w województwie chersońskim, tam w wioskach nie ma światła, nie ma prądu, nie ma wody, nie ma gazu, wody nie ma gdzie nabrać, gdyż to taki teren, taki step; woda jest dowożona, ludzie grzeją sobie jedzenie na ogniskach, bo w domu nie ma gazu i dom jest oczywiście nieocieplany. Oni potrzebują więcej odzieży, aby nie zamarznąć. To wszystko staramy się im zabezpieczyć. Działamy w ramach Poland Helps, ze znajomymi, z wolontariuszami, jeżdżą bardzo często i dowożą do naprawdę niebezpiecznych miejsc to co ludziom jest potrzebne. Dlaczego ludzie tam zostali? – wiadomo, wszędzie dobrze a w domu najlepiej. Nie chcą opuścić swoich domów i my ich rozumiemy.

**– Czego pani się rok po rozpoczęciu wojny najbardziej boi? Co panią niepokoi?**

– Nie wiem czego się tak naprawdę najbardziej boję. Jest strach o rodzinę, najbliższych, jest chęć, aby się to wszystko jak najszybciej skończyło. Przekonaliśmy się, że w czasie alarmu bombowego można być spokojnym. W czasie tego, jak słyszymy dźwięk spadającej rakiety też można być spokojnym. Tak, można się wkurzać, można zapalić cygaro, można wypić kielicha albo porozmawiać ze znajomymi... Ale czy tak naprawdę się tego boimy? Chyba już nie. Wojna jest straszna. Na początku najbardziej bałiśmy się ludzi, którzy przyjechali ze wschodu, co oni nam powiedzą; nawet nie było mowy i myśli o tym, aby nagrywać z nimi jakiegokolwiek relację bądź wywiady. Czuliśmy chęć pomocy, dlatego że dziennikarze we Lwowie zachowywali człowieczeństwo. I tego życzymy wszystkim, aby każdy w jakiegokolwiek sytuacji życiowej zachował człowieczeństwo. Wojna wyzwala uczucia, albo te najgorsze, albo te najlepsze, które drzemią w człowieku. Życzymy wszystkim państw wyłącznie tych najlepszych.

– Dziękuję.

## Skąd mój ród

(Władze samorządowe Oławy ogłosiły konkurs dla uczniów szkół podstawowych i średnich pt. "Skąd mój ród". Nasza redakcja patronowała temu konkursowi. Znakomicie, że młode pokolenia poszukuje swoich korzeni, w ten sposób poszukując własnej tożsamości. Należy też pochwalić organizatorów za wytrwałość i budowanie tradycji, bowiem to już kolejny taki konkurs. A tradycja to nie tylko siła historii, ale i moc charakterów. Przedstawiamy pracę laureatki I nagrody w dziale licealistów.) St. S.



Stanisław Srokowski

### MŁODE TALENTY

# Wiktoria Grabowska

Moje rodzinne miasto – Oława, jako część ziem odzyskanych po zakończeniu II wojny światowej, stanowiło pod koniec lat 40-tych XX wieku, miejsce zasiedlane przez wielu obywateli pochodzenia polskiego, ukraińskiego, żydowskiego oraz rosyjskiego wywodzących się z dawnych kresów II Rzeczypospolitej Polskiej. Jedną z kilkudziesięciu pierwszych rodzin, które zakończyły tutaj tułaczkę w poszukiwaniu bezpieczniejszego miejsca do życia, po trwającej bez mała 6 lat podróży wojennej, stanowiła rodzina Państwa Kopestyńskich, których córka Stefania Kopestyńska była moją prababcią. Jako osoba uczestnicząca w moim wychowaniu (zdj.1), już będąc w sędziwym wieku, wielokrotnie opowiadała mi historię swojego życia.



zdj. 1 – prababcia i ja (2005 r.)



zdj. 2 – z siostrą (1939r.)

Prababcia Stefania urodziła się 23 sierpnia 1928 roku w niewielkiej, nieco większej od Oławy, miejscowości – Kołomyja w obwodzie stanisławowskim, jako owoc miłości małżeństwa polsko-ukraińskiego. „Mój tato był grekokatolikiem, a mama wyznania rzymskokatolickiego i zgodnie z niepisanyymi zasadami odziedziczyliśmy wyznanie po matce.” Wraz z rodzicami oraz starszą siostrą Janiną, do zakończenia wojny, mieszkała w niewielkim wolnostojącym domku na ul. Adama Mickiewicza. Augustyn Kopestyński, jako absolwent Kołomyjskiego Liceum Ogólnokształcącego, posiadający wykształcenie średnie, był urzędnikiem pocztowym



samodzielnie utrzymującym rodzinę, prowadzącym jednocześnie, niewielkie gospodarstwo rolne. Jego żona Maria zajmowała się natomiast wychowaniem i wsparciem edukacji córek oraz dbaniem o ciepło i bezpieczeństwo ogniska domowego. Z przekazów prababci Stefci wiem, że okres dzieciństwa (zdj.2), choć jej rodzice nie należeli do osób zamożnych, upływał w beztrudzie i wspólnym spędzaniu czasu oraz zabawach z rówieśnikami. „Właściwie, to nie rozumiem, dlaczego nie umiem pływać skoro każdą wolną chwilę w okresie ferii letnich spędzaliśmy nad Prutem” – mówiła.

Różnorodność etniczna Kołomyi, żydowsko-ukraińsko-rosyjskie mniejszości narodowe stanowiły znaczny procent w populacji miasta, dała możliwość poznania małej Stefanii innych kultur, religii oraz języków. Dzięki tej różnorodności, każde dziecko, bez względu na narodowość, w okresie dzieciństwa, poprzez wspólną zabawę nabywało zdolności językowych na poziomie pełnej biegłości, co sprawiało, że znacząca część niepełnoletnich obywateli miasta była dwu/trzyjęzyczna jeszcze przed rozpoczęciem procesu edukacji. Okres szkolny był momentem zacieśniania się więzi oraz pełniejszego rozumienia i akceptacji odmienności kulturowej i różnorodności religijnej, wszechobecnej w Kołomyi okresu międzywojennego. Obok wyznawców kościoła rzymskokatolickiego, sąsiedzi oraz koledzy ze szkolnej ławy Stefanii byli wyznania mojżeszowego, prawosławnego lub grekokatolikami.

Z przeżyć pamięci prababci wynika, że była bacznym obserwatorem swojego otoczenia. Jej opowieści zaskakiwały szczegółowością opisu i mnogością faktów opisujących status życia jej szkolnych kolegów. Szczególnie wyraźnie dostrzegała dysproporcje w stylu ubierania się dzieci mniejszości żydowskiej o skrajnych poziomach zamożności. Jedną z jej żydowskich koleżanek była córką okolicznego sklepikarza, której wykintności ubioru nie sposób było przeczyć. „Tu koroneczka, tu falbaneczek, a tu kokardeczka” opowiadała prababcia wskazując na poszczególne części noszonej garderoby. Relacje z mniejszością żydowską wydają się w opowiadaniach prababci mieć szczególne znaczenie. Społeczność ta stanowiła pokaźną część wykształconej części mieszkańców, odpowiadających za handel, proces edukacji, zdrowie publiczne, czy świadczenie usług prawnych. Jednym z takich przykładów jest lekarz, który prowadzony swoim powołaniem oraz przysięgą Hipokratesa był zbawieniem dla ubogich mieszczan niosąc nieodpłatną pomoc, a dzieci obdarowując

słodzycami. Jego obecność na ulicy Adama Mickiewicza zawsze oznaczała pojawienie się sporej gromadki dzieci w jego bliskości. Opowieści, choć w przeważającej większości pozytywne, prezentowały też negatywne postawy, np. właścicieli sklepów lub innych drobnych handlarzy, którzy „potrafili z Ciebie skórę zedrzeć, tworząc przedtem poczucie, że sam tego chcesz” – mówiła prababcia. Świadczy to oczywiście o poziomie kunsztu i znajomości branży z jednej strony, ale jednocześnie bezwzględności z drugiej.



zdj. 3 – Stefania, z lewej, z siostrą (1946r.)



zdj. 4 – Stefania z rodziną (1954 r.)

Pomimo ogromnej ostrożności, na początku lat 40-tych XX wieku, gdy machina wojenna szła pełną parą, prababcia padła ofiarą łapanek w celu wysłania na roboty przymusowe do Niemiec. Tłumaczeniami, że dziewczyna jest jeszcze nastolatką, babcia prababci Stefci nic nie wskórała. Natychmiast poinformowano Augustyna Kopestyńskiego, który ze strwożonym sercem pobiegł na stację kolejową, gdzie już odbywał się załadunek. Jako były podoficer armii austro-węgierskiej, dzięki szacunkowi dla munduru, nawet wojsk okupacyjnych i biegłej znajomości języka niemieckiego oraz etykiety wojskowej, przekonał oficera SS do uwolnienia Stefanii w zamian za zegarek kieszonkowy – pamiątkę po ojcu. „Zawsze czuwał nade mną stwórca w dobroci i zaangażowaniu mojej rodziny i najbliższego otoczenia” – wspominała wielokrotnie prababcia.

Zakończenie wojny nie zatrzymało jednak prześladowań ludności cywilnej przez byłych członków ukraińskich oddziałów SS, którzy zostali wcieleni do Ukraińskiej Powstańczej Armii. Moja prababcia używała jednak nazwy „bandy UPA”, których członkowie z hasłem na ustach: „Śława Ukrainie” pod czarno-czerwoną banderą, już od około 1943 roku zaczęli siać terror wśród ludności cywilnej. Prześladowania nie ominęły również rodziny państwa Kopestyńskich. Ostrzeżony przez sąsiadów, Augustyn Kopestyński, dwukrotnie uniknął nocnych egzekucji, przeprowadzanych z zasko-



► czenia przez uzbrojone bandy UPA, ukrywając się wraz z rodziną w pobliskich lasach i wyczekując brzasku, kiedy to zbrodnicza aktywność wygasła.

Rosnący w potęgę nacjonalizm ukraiński, który szerokim echem przetoczył się przez Wołyń i Galicję Wschodnią, zbierając krwawe żniwo wśród ludności polskiej, wpłynął w 1946 r., prababcia miała wówczas 18 lat (zdj.3), na podjęcie decyzji o wyjeździe z Kołomyi przez trzy spokrewnione ze sobą rodziny: Kopestyńskich, Laskowskich i Marciniowskich, które zostały przesiedlone na tereny odzyskane, do Kamieńca Wrocławskiego, a stąd, w poszukiwaniu pracy, do Oławy. Wraz z rodzicami i siostrą, prababcia zasiedliła służbowe mieszkanie Rejonowego Zakładu Budowy Dróg i Mostów w Oławie, w którym to zakładzie, znalazł zatrudnienie przyszły mąż prababci (zdj.4) – Władysław Grabowski, z którym doczekali się trojga potomstwa: Tadeusza (mój dziadek), Alicji i Piotra.

Po opuszczeniu kresów, prababcia wielokrotnie odwiedzała Kołomyję, nazywając ją swoim miastem „to moja ziemia i ja do niej należę”. Jednak za każdym razem, wyjeżdżając do Rosji, a po 1991 na Ukrainę, towarzyszył jej zaszczepiony w młodości lęk przed objawami ukraińskiego nacjonalizmu. W trakcie jednej z ostatnich wizyt w Kołomyi prababcia spacerowała po ulicach ukochanego miasta, przywołując wspomnienia z dzieciństwa. Z ciekawości postanowiła udać się na plac przed dworcem PKP, gdzie ku jej zaskoczeniu zobaczyła pomnik Stepana Bandery wyniesionego do rangi bohatera narodowego Ukrainy. Po powrocie z tych wakacji, nigdy więcej nie odważyła się pojechać w rodzinne strony, choć nie straciła zainteresowania regionem, regularnie uczestnicząc w spotkaniach kresowych (zdj. 5) oraz czytając biuletyn informacyjny – „Wiadomości z Kołomyi i Pokucia”.

W ostatnich momentach życia ze łzami w oczach opowiadała o rzezi ludności żydowskiego pochodzenia i obraz tłumy

prowadzonego na egzekucję, obserwowanego z okna domu dziadków na ulicy Ukraińskiej, tłumy, w którym znajdował się obdarty z odzieży, godności i z zakrwawioną twarzą lekarz, o którym już wspominałam. Do samego końca dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie zrobili wystarczająco dużo, aby go ocalić.

Prababcia zmarła w 2020 roku. Jej doświadczenia życiowe stanowiły świadectwo dobra i zła wynikającego z przemian społecznych i politycznych na terenie kresów wschodnich, a jej pogodne usposobienie wynikało z przekonania, że nikt nie zasługuje na to zło, którego doświadczyła. Kontakt z prababcią uważam, z jednej strony, za cenną lekcję moralności, która w znaczący sposób wpłynęła na kształtowanie mojego charakteru, a z drugiej, za uzupełnienie mojej wiedzy na temat życia na terenach II Rzeczypospolitej, stanowiące istotne uzupełnienie mojej wiedzy historycznej.

# Pycha polityków



HALSZKA BIELECKA

■ W czasach mass mediów polityk to co raz częściej celebryta, który schlebia tłumowi, szokuje i jest znany z tego, że jest znany. Jego głównym zajęciem jest śledzenie sondaży, liczby „polubień” i wyświetleń w mediach społecznościowych oraz dobijanie się o występy w telewizji. Nie przez przypadek mówi się, że pycha kroczy przed upadkiem. Zamiast ciężkiej pracy i szukania rozwiązań dla problemów w kraju, politycy wpatrują się w monitor komputera, jak w zwierciadło z bajki o Królewnie Śnieżce.

Zaciera się granica między politykiem a celebrytą, ponieważ płynnie zamieniają się miejscami. Politycy goniący za rozgłosem stają się celebrytami, a celebryci startują w wyborach i zakładają organizacje polityczne. Obie ścieżki donikąd nie prowadzą, ponieważ ich celem jest popularność i rozgłos, a nie dobro obywateli.

Duża rozpoznawalność wcale nie jest wykorzystywana do kontaktu z ludźmi i przekazywania społeczeństwu wiedzy na temat sytuacji w kraju, a wręcz przeciwnie, tworzy jeszcze większy dystans między obywatelami a politykiem-celebrytą. Jak na karuzeli, polityk kręci się coraz szybciej, traci z oczu wszystko i wszystkich wokół, cały świat staje się rozmarzony, a on dalej się kręci, aż nie wypadnie zamoczony.

Czasami kończy się paliwo popularności i karuzela w końcu sama się zatrzymuje, ale polityk nie ma już nic, aby ją na nowo rozruszać. Zostaje zupełnie sam i chociaż mocno przebiera nogami nie potrafi już wprawić w ruch karuzeli bez pomocy innych.

Politycy gnający za popularnością kierują się wyłącznie badaniami opinii publicznej i mówią tylko to, czego aktualnie oczekują od nich wyborcy. Nie będą mówić prawdy, ani poruszać niewygodnych tematów, jeżeli to nie przysporzy im popularności. Naginają fakty do swoich postulatów, manipulują danymi, które mają być podporą ich argumentów.

Ważniejsza jest aproba tłumów, niż prawda. Siebie samych stawiają na piedestale i nie przyjmują żadnej krytyki. Słuchają tylko tych, co chwają ich pomysły. Książd Piotr Skarga modlił się przede wszystkim o dar mądrości i dobrej rady dla polityków. Populizm uważał, za wielkiego wroga mądrości, przestrzegał przed stawianiem po stronie tłumy, a nie prawdy: „**Człowiek mądry daje się przekonac rozumnym argumentom, ale nie przychyli się opinii, w której nie widzi prawdy. Nie ma swojego zdania, w sprawie której nie zna albo jej nie rozumie. Nie bierze też cudzego zdania za swoje, gdy nie widzi w nim racji i sprawiedliwości; wyznaje opinie prawdziwe, a nie popularne.**”

Kompromisy w kwestiach ideowych to początek pełnej degradacji partii i jej rozmycia w populistycznym bełkocie. Aby zapewnić sobie przychylność tłumów politycy łagodzą swój przekaz, aż w końcu sami zapominają, jakie mieli poglądy i jakie wartości mieli reprezentować. Stara zasada brzmi, że aby zwiększyć swój zasięg oddziaływania należy jak najbardziej centralizować przekaz. Im mniej radykalnych postulatów i działań – tym więcej zwolenników.

Z początku pewne łagodzenie programu jest tłumaczone jako „mądrość etapu”. Z czasem tych kompromisów robi się tak dużo, że pozostaje jedynie „papka” bez wyraznego smaku, którą może nam zaserwo-

wać polityk każdej opcji politycznej i nawet nie rozpoznamy czy to „lewica”, czy „prawica”. Nikomu nie będzie smakować, ale nikt nie zarzuci, że jest zbyt słona, słodka, kwaśna czy pikantna. Dotyczy to również jednoznacznego udzielania poparcia jakiemuś ugrupowaniu czy kandydatowi. Otwarte opowiedzenie się po którejś stronie jest zazwyczaj lepsze od neutralności.

Nikt nie chce mieć niezdecydowanych przywódców, którzy nie mogą się zdecydować czy są za, czy przeciw i kto jest ich wrogiem, a kto przyjacielem. Ugrupowania polityczne i ich liderzy powinni mieć jednoznaczne stanowisko. Nawet, jeżeli czasami trzeba się z kimś „dogadać” to tylko po to, aby zrealizować jakiś konkretny postulat, a nie by szukać przychylności raz jednych, raz drugich. Przyjmowanie kompromisów to uleganie ludziom niegodnym, miernym, którzy zwodzą, kłamią i oszukują. Jest tylko prawda, a nie kompromis. Jeżeli w kwestiach fundamentalnych wybiera się kompromis, to znaczy, że uległo się kłamstwu i zrezygnowało z prawdy. Na dłuższą metę takie kompromisy tylko dyskredytują i coraz bardziej odciągają od właściwej drogi.

**Dawanie świadectwa prawdy swoich przekonań wymaga dużej odwagi. Czasami trzeba być jedyną osobą w tłumie, która się wyłamie i powie, że król jest nagi. Wypowiedzenie nagłos niewygodnej prawdy prowadzi często do odrzucenia lub stygmatyzacji,**

**a dla polityka może to wiązać się ze straceniem dostępu do mediów głównego nurtu, publicznym wysmiewaniem i wyszydzeniem. Jednak ktoś, kto decyduje się na działalność społeczną nie może godzić się na powtarzanie kłamstw w przestrzeni publicznej, nie może ich również ignorować.**

Pierwszym i najważniejszym obowiązkiem jest publiczne demaskowanie kłamstwa. Nawet jeżeli nie spodoba się to ludziom. Większość społeczeństwa wcale nie chce prawdy, woli wierzyć w kłamstwa, które będą ich utwierdzać w oswojonej wizji świata. Zmierzenie się z prawdą nie jest łatwe, szczególnie jeżeli umysławia ludziom, że dawali się przez lata oszukiwać i zaciekle bronili polityków, którzy ich świadomie okłamywali.

Nikt nie lubi przyznawać się do błędów i przyjąć do wiadomości, że stał się ofiarą oszustwa. Trudno jest zmierzyć się z tym, że przez lata zaciekle broniło się fałszywych poglądów czy kłamliwych teorii.

Pierwszym odruchem tłumy będzie zawsze odrzucenie tego, który mówi im prawdę i umysławia, że dali się oszukać.

Tłum idzie zawsze za pozorami, za obietnicami, chociaż sądzi według rezultatów. Polityk musi jednak pamiętać, że przychylność tłumy jest niestała.

Liwiusz pisał: „**Taka jest natura tłumy: albo służy w poniżeniu, albo rozkazuje pełen pychy.**”

Rządzący, którzy wbrew swoim hasłom wyborczym wcale nie chcą służyć ludowi, wyciągnęli wniosek, że najlepszym sposobem na posłuszeństwo tłumowi będzie utrzymywanie go w strachu. Strach jednak może również zjednoczyć ludzi, aby temu zapobiec należy nieustannie generować konflikty i podsycać kłótnie, wtedy obywatele nie mogą połączyć swoich sił przeciwko władzy.

Wystarczy zastraszyć obywateli wizją, że będzie znacznie gorzej, jeżeli „tamci” przejmą władzę. Kiedyś straszono zewnętrznymi wrogami, np. w PRL rządzący roztaczali wizję interwencji wojsk radzieckich wkraczających do Polski, jeżeli ludność będzie się buntować przeciwko władzy. Obecnie najczęściej wykorzystuje się tzw. tematy zastępcze, które są sprawdzonymi metodami wzniecania niepokoju w społeczeństwie. Takimi tematami może być aborcja lub legalizacja związków homoseksualnych. W dodatku stanowisko wobec tych spraw determinuje pozycję na scenie politycznej. Prawica jest przeciw, lewica jest za.

Na tych polach toczy się pokazowa walka dla widzów, a w innych kwestiach politycy różnych opcji dogadują się, mając w głębokim poważaniu swoich obywateli. **To bardzo wygodne dla polityków, aby zawsze mieć w pogotowiu jakiś temat zastępczy, który przykuje uwagę ludzi i skupia się na tym, co im podsuwa władza.**

**GÓRA  
RAKÓW**



Cóż to Kielce albo Kraków  
Dziś wiadomo Górą Raków  
I powiedzieć tu wypada  
To niemała jest osada

I to wcale nie nowina  
Najpiękniejsza to jest gmina  
Można mówić zaś o cudzie  
Najwspanialszy tu są ludzie

Niechaj cały świat się dowie  
Bardzo pięknie tu w Rakowie  
Miło fajnie klimatycznie  
Jednym słowem bardzo ślicznie

Pola lasy oraz góry  
Piękne niebo nawet chmury  
Chańcza tutaj dominuje  
I przyrodę tu się czuje

Rzeka Czarna wody toczy  
Kompleks leśny jest uroczy  
I doszliśmy tu do zgody  
Raków wielkiej jest urody

Gremia bardzo uraczone  
Na ziemniaki tu pieczone  
Tradycyjnie także bywa  
Zaś dożynki kończą żniwa

Są tu ryby i są raki  
Pod ochroną liczne ptaki  
Traszkę oraz małe gady  
I motylki i owady

I zabytków tu jest wiele  
Tak wędrując tu w niedziele  
Spacerując dookoła  
Można wstąpić do kościoła

Jak legenda dobra głosi  
Ślad historii Raków nosi  
Bracia Polscy tu mieszkali  
Akademię zbudowali

I pomniki są przyrody  
Torfowiska leśne brody  
Romantycznie niesłychanie  
Rano słyhać tu kumkanie

Jest co chronić pielęgnować  
By przyrody nie zmarnować  
Trza podziwiać oraz cenić  
Się zakochać i ożenić

Sosen tu najwięcej rośnie  
A gdy ma się już ku wiośnie  
Słyhać wówczas wiele ptaków  
Urokliwy zawsze Raków

Gmina pięknie wygląda tak  
Bo tu Wójtem Damian Szpak  
Panie Wójcie piękna gmina  
I niech dalej Pan tak trzyma

POSTSCRIPTUM  
I tak dalej wędrowałem  
Miłych ludzi tu spotkałem  
Bardzo sympatycznego  
Zbigniewa Zielińskiego

Darka Józwicka poznałem  
O Rakowie pogadałem  
I o ludziach i o gminie  
Ot i tak to chwila minie

EPILOG  
Jak to bywa zaś w legendzie  
Dalszy ciąg znów kiedyś będzie  
I to każdy przecież powie  
Mieszkać tylko tu w Rakowie...

Mieczysław Góra 601 824 583  
Spotkania autorskie

# Transformacja górnictwa węglowego

ADAM MAKSYMOWICZ



■ Po kilkumiesięcznym okresie kryzysu energetycznego w Europie, kiedy ceny węgla ostro ruszyły w górę, wydawało się, że górnictwo węgla wróci do dni swoich świetności. Jak się okazuje sytuacja ta tylko chwilowo wstrzymała dekarbonizacyjną politykę UE, której powrót był do przewidzenia – i który następuje.

## Bez zaskoczenia

Jego sygnałem jest przygotowywane Rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady Unii Europejskiej w sprawie ograniczenia emisji metanu w sektorze energetycznym, które jeszcze w marcu tego roku ma wejść w życie. Sprowadza się ono do obowiązku wykonywania pomiarów, sprawozdawczości i weryfikacji w zakresie emisji metanu w sektorze energetycznym, jak również ograniczenia tych emisji, poprzez wykrywanie wycieków, nieszczelności, przeglądy naprawcze oraz ograniczenie dotyczące odpowietrzania i spalania na pochodniach. Od 1 stycznia 2027 r. „*uwalniając metanu do atmosfery z szybów wentylacyjnych w kopalniach węgla, innych niż kopalnie węgla koksowego, emitujących ponad 0,5 t metanu na kilotonę wydobytego węgla*” zostałyby zakazane. Według opinii Wyższego Urzędu Górniczego w Katowicach przepisy takie mogą oznaczać likwidację polskiego górnictwa węglowego.

## Metan w polskich kopalniach

Na 33 polskie kopalnie węglowe, tylko jedna z nich położona na terenie Gliwic, jest niemetaanowa i może spełnić warunki wspomnianego rozporządzenia UE. Natomiast cztery z nich zaliczone do I stopnia zagrożenia metanowego, które mieści się w granicach 0,1 – 2,5 m<sup>3</sup> metanu na tonę wydobycia, ma szansę zmieścić się w normie po odpowiedniej restrukturyzacji wydobycia z pominięciem aktualnie metanowych pokładów, gdyż w pierwszym stopniu zagrożenia metanowego, nie wszystkie eksploatowane pokłady są metanowe. Dotyczy to przede wszystkim Lubelskiego Zagłębia Węglowego (LZW), a konkretnie kopalni Bogdanka, gdzie w stropowej części eksploatowanych warstw karbonu w profilu 100 – 250 m występują pokłady nie metanowe. Poniżej głębokości 900 m wszystkie pokłady są silnie zgazowane. Przepisom unijnym towarzyszą ostre rygory pomiarowe, wykonywane przy pomocy dokładnie określonych aparatów. Ich zakup, montaż obsługa to dodatkowe koszty obciążające wydobycie.

## Zabójcza beczyność

Dotyczy ona przede wszystkim węglowego górnictwa na Górnym Śląsku. Przynajmniej od dwudziestu lat znane jest negatywne nastawienie UE do węgla kamiennego. Po okresie protestów należało przygotować plan B, aby z tego co udało się uratować zbudować nowy przemysł górniczy, niekoniecznie związany z węglem. W tej sprawie zabrakło chęci, woli i pomysłów. W krytycznej chwili, górnictwo to staje przed wspomnianymi wymogami UE, bez żadnej alternatywy. Odprawy, zapomogi i inne akcje charytatywne wspierające bezrobotnych górników, nie są tym, czym być mogły inne rozwiązania ekonomiczne i gospodarcze przekształcającego się górnictwa węglowego w nowy sektor tej branży.

## Lubelskie górnictwo przetrwa

Niekoniecznie węglowe, choć w świetle nowych obostrzeń UE, ma na to największe szanse. Górnicza kadra LZW zaprzawiona jest w pokonywaniu prze-

ciwności, przed którymi inni już dawno by się poddali. W czasach PRL śląskie górnictwo, pod każdym względem było na piedestale górniczym, prestiżowym i finansowym. Wiadomo, że powodzenie psuje inicjatywy i zabieganie o przyszłość. Natomiast lubelskie górnictwo węglowe nikt nie głaskał po głowie. Kiedy rozpoczęto budowę tej inwestycji, awarie wodne w głębinach szybów o mało nie doprowadziły do sytuacji jej zaprzestania. Zatrudnieni tu ludzie za wszelką cenę chcieli uprzemysłowienia tego regionu, a górnictwo węglowe miało być wtedy gwarancją tego procesu. Kiedy czasy się zmieniły w 1989 roku, powtórnie chciano zlikwidować LZW, ale wtedy już czynne kopalnie oparły się temu gwarantując swoją dochodowość. I wkrótce okazało się, że stały się one najlepsze pod tym względem. Teraz, przychodzi trzecia próba jego likwidacji, i wszystko wskazuje na to, że będzie tak jak poprzednio. Kopalnia Bogdanka analizuje obecnie przyszłość swoje inwestycje górnicze, o jej preferencjach na razie nic nie wiadomo, poza tym, że chce inwestować nie tylko w węgiel, lecz przede wszystkim w górnictwo metali, które obecnie poszukiwane są na całym świecie. Aktualnie poszukuje interesujących złóż na terenie kraju oraz sąsiedniej Ukrainy, która jest pod tym względem jednym z najbogatszych krajów Europy. Ponieważ na Ukrainie trwa wojna i nie wiadomo kiedy się skończy, do rozpatrzenia pozostają złoża krajowe. Wszystkie inwestycje węglowe, w tym węgla brunatnego nie mają obecnie żadnych perspektyw. Pozostają złoża metali. Z tych miedź jest już wyłączona, gdyż dostępne dotąd koncesje skutecznie wykupił kapitał zagraniczny. Cynkowo – ołowio – srebrne rudy w okolicach Zawiercia, też nie są do wzięcia, ze względu na płytką ich eksploatację podziemną zagrażającą regionalnemu środowisku. Z polskiego przeglądu krajowych złóż wydaje się, że przy zaangażowaniu najlepszych rozwiązań górniczych szansę na zdobycie uznania ma polimetaliczne złoża Krzemianka koło Suwałk. Jest to o tyle prawdopodobne, że w zakresie inwestycji w złoża metali Bogdanka pragnie nawiązać współpracę z KGHM Polska

Miedź S.A. Tym bardziej, że jeszcze prawie pół wieku temu nasz miedziany gigant był pierwszym inwestorem mającym wtedy zagospodarować to złożo. I tak lubelscy górnicy, którzy pokonali sto i jeden trudności dla uruchomienia i utrzymania swoich kopalni, mieli by teraz szansę powtórzyć na Suwalszczyźnie swój lubelski sukces.

## Szansa dla Górnego Śląska

Podjęta inicjatywa górnicza dla polimetalicznego złoża Krzemianka, jest szansą przetrwania górnictwa tak dla lubelskiego górnictwa, jak i dla Górnego Śląska. Przede wszystkim dlatego, że jest to znaczące przedsięwzięcie inwestycyjne i zapewne górnicy z obu tych ośrodków będą tu potrzebni. Problemem jest ochrona unikatowego środowiska na tym terenie. Od strony górniczej, nic mu nie zagraża, gdyż wyrobiska w masywnych skałach nie powodują osiadania powierzchni, ani zjawisk sejsmicznych w postaci tąpnięć i wstrząsów. Istotnym elementem dla środowiska mogą być zakłady wzbogacania rudy, które ze względu na termiczną technologię, nie mogą być umieszczone pod ziemią. Proces ten winien być połączony z ciągiem hutniczym, które ze wspomnianych względów środowiskowych nie może znajdować się obok wnioskowanej kopalni. Ponieważ ruda wydobywana jest niezwykle bogata przynajmniej od strony zawartości w niej cenny i poszukiwanych metali w tym pierwiastków ziem rzadkich, jej transport np. na Górny Śląsk będzie opłacalny. Tu istnieje zarówno infrastruktura przemysłowa, jak i kadrowa oraz naukowa, umożliwiająca przy zachowaniu wszelkich wymaganych obostrzeń uzyskać produkt końcowy. Jest rzeczą prawie pewną poparcie dla tego rodzaju inwestycji ze strony UE, która nie jeden raz apelowała o usamodzielnienie się pod tym względem od Chin i innych krajów spoza naszego kontynentu. Jest rzeczą oczywistą, że bez akceptacji, zainteresowania obu tych dwóch największych środowisk górniczych cały projekt udostępnienia złoża Krzemianka może ulec dalszej zwłoce ze startu tak dla gospodarki, jak i krajowego górnictwa.

# Apel do Sejmu:

## O wolność słowa dla lekarzy

KRYSTYNA GÓRZYŃSKA

■ 13 stycznia 2023 r. w Sejmie powstał Zespół ds. funkcjonowania izb lekarskich w Polsce. Jego celem jest m.in. monitorowanie i analizowanie przykładów przekraczania uprawnień przez przedstawicieli izb lekarskich w zakresie pozbawiania prawa do wykonywania zawodu lekarza osób należących do izb lekarskich oraz przygotowanie ewentualnych rekomendacji do zmian w prawie w zakresie funkcjonowania samorządu lekarskiego. Przewodniczącą Zespołu została poseł Anna Siarkowska.

Dotychczas odbyły się dwa posiedzenia zespołu. Pierwsze 27 stycznia b.r. polegało na wysłuchaniu pokrzywdzonego lekarza dr Zbigniewa Martyki, kierownika oddziału obserwacyjno-zakaźnego w Dąbrowie Tarnowskiej (skazanego przez Okręgowy Sąd Lekarski w Krakowie za krytykę przepisów pandemicznych na roczny zakaz wykonywania zawodu) oraz pozostałych zaproszonych uczestników (wiceminister Marcin Warchoł wraz ze specjalistami z Ministerstwa Sprawiedliwości, przedstawiciel Rzecznika Praw Obywatelskich, red. Jan Pospieszalski). Posiedzenie zakończyło się konkluzją, że postępowania dyscyplinarne w izbach lekarskich względem lekarzy zgłaszających błędy w rządowej strategii walki z pandemią wzbudzają wielkie wątpliwości i będą wymagały reakcji władz. Podczas drugiego zebrania w dniu 10 lutego z udziałem lekarzy Pawła Basiukiewicza i Piotra Rossudowskiego a także przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości, RPO i Instytutu Ordo Iuris podsumowano, że w postępowaniach dyscyplinarnych prowadzonych przez izby lekarskie wobec lekarzy krytykujących przepisy – ma miejsce częste łamanie zasad procesowych, w tym o charakterze gwarancyjnym oraz orzekanie kar nie tylko wątpliwych, ale także rażąco nieproporcjonalnych do rangi zarzucanych czynów. Padły też deklaracje o ewentualnym przyłączeniu się prokuratury (jako rzecznika praworządności) do wspomnianych postępowań czy ewentualnym wniesieniu skarg konstytucyjnych. Podnoszono też kwestie zmiany prawa w sposób, który by eliminował obowiązkową przynależność do izb lekarskich.

Mam jednak wątpliwość, czy parlamentarzyści-członkowie Zespołu zdają sobie sprawę z koniecznej pilności i radykalności działań. Z tego co jest mi wiadomo, izby lekarskie praktycznie rzecz biorąc podlegają niezwykle ograniczonej kontroli sądowej. Kasacje od prawomocnych orzeczeń mogą być wniesione zgodnie z art. 96 Ustawy o izbach lekarskich przede wszystkim z powodu uchybień wymienionych w art. 439 § 1 Kodeksu postępowania karnego (bezwzględne przyczyny odwoławcze) lub in-

nego rażącego naruszenia prawa. Kasacja może być wniesiona również z powodu niewspółmierności kary.

Postępowania kasacyjne są zwykle długotrwałe, podstawy kasacji (rażące naruszenie prawa, niewspółmierność kary) są mocno ocenne, a na dodatek kasację mogą wnieść tylko strony (za pośrednictwem adwokata lub radcy prawnego) oraz Minister Zdrowia i Prezes Naczelnej Rady Lekarskiej. Nie mają uprawnień do wniesienia kasacji ani Prokurator Generalny, ani RPO, ani Rzecznik Praw Pacjenta.

Zanim kasacja zostanie rozpatrzona należy domniemywać, że okres zawieszenia w prawie wykonywania zawodu, co jest często orzekaną karą, po prostu samoczynnie upływa. Niestety w międzyczasie lekarze utracą dochody i ewentualne stanowiska kierownicze, pacjenci zostaną pozbawieni możliwości leczenia u lekarzy, do których mają zaufanie, a opinia publiczna nie będzie miała dostępu do niezależnych informacji, często o wiele bardziej wiarygodnych niż „urzędowe”, oparte na zmiennych i wątpliwych rekomendacjach WHO. Już w marcu odbędą się pierwsze procesy „zbiorowe” względem 114 „niewygodnych” lekarzy, którzy apelowali do władz, zwracając uwagę na błędne metody zwalczania COVID-19. Procesy odbędą się w Poznaniu (przeciwko 19 lekarzom), w Gdańsku (52 lekarzy) i we Wrocławiu (43 lekarzy).

Potrzebna jest moim zdaniem pilna nowelizacja ustawy o izbach lekarskich. Postępowania dyscyplinarne z powodu wyrażania przez lekarzy uzasadnionych opinii (wspieranych wynikami badań naukowych i obserwacjami klinicznymi) na temat metod zapobiegania i zwalczania zakażeń i chorób winny być niedopuszczalne. W przeciwnym wypadku izby lekarskie będą nadal pacyfikować niezależnych, mądrych lekarzy przy pomocy dyscyplinarek prowadzonych wbrew przepisom prawa procesowego.

Nie tak dawno Sejm ukroił prześladowanie naukowców za poglądy nowelizując Ustawę *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce*, co jest dużą zasługą Instytutu Ordo Iuris. Instytut przygotował projekt nowelizacji, zakłada-

jący wzmocnienie ochrony wolności prezentowania poglądów i wyników badań naukowych.

Sejm znowelizował art. 275 Prawa o szkolnictwie wyższym (Podstawy odpowiedzialności dyscyplinarnej) wprowadzając punkt 1a. o treści: *Nie stanowi przewinienia dyscyplinarne wyrażanie przekonań religijnych, światopoglądowych lub filozoficznych.*

Gwarantowane konstytucyjne wolności są należne każdemu. Oznacza to, że każdy – bez względu na wykonywany zawód, a zatem i lekarz – może wyrażać swoje poglądy, a także zdobywać i rozpowszechniać informacje.

### Kolejna szykana sądów lekarskich wobec dr Anny Prześlipy-Martynowskiej

Na koniec szokujący przykład, do czego prowadzi zwalczanie debaty publicznej na temat metod ochrony zdrowia publicznego. Ceniona przez pacjentów lekarka dr Martynowska z Łądką Zdroju, nota bene żona wielce zasłużonego działacza „Solidarności Walczącej” Wacława Martynowskiego, jest nieustannie szykanowana przez sądy lekarskie.

Przypomnijmy, że już w lipcu 2020 roku stała się ofiarą Okręgowego Sądu Lekarskiego we Wrocławiu, który bez przeprowadzenia rozprawy tymczasowo zawiesił ją w prawach wykonywania zawodu na pół roku, po czym w styczniu 2021 r. przedłużył to zawieszenie na kolejne pół roku. Lekarka „naraziła się” prominentom lekarskim, bo wskazywała na brak zasadności „zamykania” szpitali i przychodni, pozornie teleporad oraz niewykorzystywanie tradycyjnych, sprawdzonych metod leczenia wirusowych zakażeń układu oddechowego. Tymczasem dopiero po 8 miesiącach rozpoczęła się rozprawa, która ograniczyła się do przeprowadzenia dowodu z opinii biegłego dr Pawła Grzesiowskiego, pediatry, który przedstawiał się publicznie jako wakcynolog, nie mając w tym zakresie żadnych uprawnień. Adwokat dr Martynowskiej wskazał na wątpliwości dotyczące bezstronności biegłego oraz błędy w określeniu też dowodowych oraz wniósł o powołanie innego biegłego.

Sąd lekarski jednakże nie uwzględnił wniosków adwokata i sprawę rozstrzygnął na podstawie arbitralnej opinii dr Grzesiowskiego, który twierdził, że najsukcesyjniejszą metodą zapobiegania transmisji koronawirusa są środki niefarmaceutyczne (maski, higiena rąk i dystans społeczny) oraz ograniczenie mobilności społeczeństwa, a także podnosił, że powszechne testowanie w celu wykrywania „choroby bezobjawowej” jest ważnym zachowaniem prozdrowotnym. Nie przywołał żadnej literatury naukowej, ani dokumentów z rekomendacjami instytucji, które miałyby potwierdzać jego tezy. Na tej podstawie lekarz skazano w lutym 2022 r. na rok zawieszenia prawa wykonywania zawodu, przy czym na poczet kary zaliczono już „odbyte” zawieszenie. Odwołanie od orzeczenia zostało odrzucone przez Naczelny Sąd Lekarski (NSL) we wrześniu 2022 r. Uzasadnienie sporządzono w lutym br. Naczelny Sąd Lekarski – wbrew powszechnym już ustaleniom naukowym – z uporem twierdzi, że zastosowane podczas pandemii środki niefarmaceutyczne były właściwe i wystarczające, a testy „rozpoznające” koronawirusa – wiarygodne. Zdaniem NSL, każdy lekarz, który kwestionował tę strategię, dopuszczał się zachowań antyzdrowotnych i naruszał godność zawodu. NSL nie odniósł się w ogóle do faktu ograniczenia dostępu chorych do lekarzy podczas pandemii, fałszywie pozytywnego rozpoznawania zakażeń koronawirusem na podstawie niedostosowanych testów oraz zastępowania koniecznego wczesnego leczenia choroby izolacją, w których to sprawach alarmowała dr Martynowska.

To naprawdę niegodne i kompromitujące, aby izby lekarskie twierdziły, że przepisy administracyjne doprowadzające do spadku naturalnej odporności u ludzi i uniemożliwiające bezzwłoczne rozpoznawanie i leczenie zapalenia płuc i/lub niewydolności oddechowej u chorych – co było najczęstszą bezpośrednią przyczyną zgonów na Covid-19 – bazują na aktualnej wiedzy medycznej.

Pomijając jednak powyższe, szykany wobec lekarki miały ciąg dalszy. W dniu 30 sierpnia 2020 roku podczas wystąpienia

na rynku wrocławskim, dr Martynowska poskarżyła się opinii publicznej, że tymczasowo zawieszono ją w prawach lekarza, uniemożliwiając jej udział w posiedzeniu sądu i prawo do obrony, gdyż nie miała maseczki. Z tych względów nazwała sąd lekarski „sądem maseczkowym”. Poinformowała też, że sąd pozbawiając ją możliwości wykonywania zawodu, uniemożliwił jej opiekę nad dotychczasowymi pacjentami, a jeden z nich nawet zmarł w szpitalu bez obecności rodziny, czemu nie mogła – będąc zawieszoną – zapobiec. Lekarka zauważyła, że izby lekarskie nie podejmują żadnych działań, aby umożliwić umierającym ludziom pożegnanie z bliskimi. Takiego samego zdania był także Rzecznik Praw Pacjenta, który kierował w tej sprawie apele do szpitali. Lekarze z sądu lekarskiego poczuli się jednak dotknięci osobiście krytyką.

Martynowskiej zarzucono brak okazywania szacunku innym lekarzom i naruszenie tym samym zasad etyki zawodowej. Na tej podstawie Sąd Lekarski w Opolu skazał ją w czerwcu 2022 r. na rok zawieszenia w prawach wykonywania zawodu, mimo że mówiła prawdę i to w interesie publicznym. Lekarka napisała odwołanie. Podczas rozprawy odwoławczej w Naczelnym Sądzie Lekarskim w dniu 23 lutego b.r. odbywającej się z udziałem pełnomocnika lekarki z Instytutu Ordo Iuris, wyrok zmieniono. **Zamiast dotychczasowej kary zasądzono karę pieniężną w wysokości dwukrotności przeciętnego wynagrodzenia, co stanowi kwotę około 14 tysięcy złotych. Ordo Iuris wniosło w tej sprawie kasację.**

Niestety sądy lekarskie rzeczywiście łamią prawo w swoich orzeczeniach. Odnosząc się do tej konkretnej sprawy lekarka winna być niewinniona. Liczne wyroki Europejskiego Trybunału Praw Człowieka wskazują, że wolno krytykować wymiar sprawiedliwości, byleby krytyka taka była uzasadniona, czyli miała oparcie w podstawie faktycznej i nie była znieważająca, przy czym może być nawet uszczypliwa. Jak widać, lekarze z sądów lekarskich, kierują się innymi przesłankami.

## Krakowski hołd dla gen. Augusta Emila Fieldorfa – „Nila” w 70 rocznicę jego śmierci

GRZEGORZ GORCZYCA



Urodził się w Krakowie, przed wojną związany był z Wilnem, a został zamordowany przez komunistów w Warszawie. 24 lutego 2023 r., w 70. rocznicę śmierci gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, legendarnego dowódcy Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej, w Krakowie i w Warszawie złożyliśmy hołd bo-

haterowi, który honor cenil ponad życie.

Rankiem, pod tablicą pamięci umieszczoną na budynku przy ul. Lubicz 32 w Krakowie, zebrała się grupa mieszkańców Krakowa, by uczcić 70 rocznicę śmierci gen. „Nila”. Tutaj w 1895 r. urodził się August Emil Fieldorf. Po krótkiej modlitwie i złożeniu kwiatów

zgrupowani przeszli na pobliską ul. Topolową 22, do szkoły podstawowej nr 3. Przyszły generał był uczniem tej placówki w latach 1901-1905. W 2018 r. w budynku odsłonięto tablicę pamiątkową, ufundowaną przez krakowski IPN, wmurowaną z inicjatywy rodziców dzieci, nauczycieli oraz rodziny „Nila”. Pod tablicą złożono kwiaty.

Na koniec w szkolnej auli uczniowie zaprezentowali widowisko opowiadające o życiu gen. Fieldorfa, a zastępca dyrektora krakowskiego IPN dr Michał Wenklar wygłosił krótką prelekcję. Wręczono także nagrody uczestnikom IV konkursu Dzielnicy II Grzegórzki, poświęconego gen. „Nilowi”.

**Organizatorami uroczystości byli: Oddział IPN w Krakowie, Ośrodek Edukacji Obywatelskiej filia Centrum Młodzieży im. dr. H. Jordana w Krakowie oraz Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 3 im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Krakowie.**



## Nadzieja w młodym pokoleniu

■ Wśród wielu wybitnych przedstawicieli żołnierzy niezłomnych na Dolnym Śląsku szczególną czią otacza się podpułkownika Ludwika Marszałka. Pseudonim Zbroja czasami Wilk. To od 2020 roku patron 16 Dolnośląskiej Brygady Obrony Terytorialnej.



TOMASZ BIAŁASZCZYK

W czasie II Wojny Światowej walczył w kampanii wrześniowej. Po kapitulacji uciekł z niemieckiego obozu jenieckiego. Kontynuował walkę w kolejnych strukturach polskiego państwa podziemnego. W 1944 roku uczestniczył w Akcji Burza. Następnie kontynuował walkę zarówno z okupantem niemieckim, jak i z nadchodzącym okupantem sowieckim. Poszukiwany przez kontrwywiad ZSRR schronił się na kilka lat na Dolnym Śląsku, gdzie zakładał struktury Stowarzyszenia Wolność i Niezawisłość. Pojmany w wyniku zdrady, po brutalnym, krwawym śledztwie, wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego skazany na śmierć. 27 listopada 1948 wraz ze Stanisławem Dydo, Janem Klamutem, Władysławem Ciskiem został rozstrzelany we wrocławskim zakładzie karnym w więzieniu przy ulicy Kleczkowskiej.

Pamięć o swoim tacie przynosi jego syn Krzysztof. Sam wie jak wiele stracił, nie mając kochanego ojca obok siebie. Przez lata widział jak mama z dwójką dzieci pod okiem opresyjnej wła-

dy starała się zapewnić rodzinie bezpieczne wychowanie. Często musieli zmieniać miejsca zamieszkania i szkoły. Trzeba było podejmować zle opłacaną pracę, aby zapewnić rodzinie podstawy życia. Bardzo długo musieliśmy czekać na rehabilitację człowieka, który, gdy trzeba było, walczył z bronią, gdy trzeba było, walczył politycznie o wolną Polskę.

Syn Krzysztof spotkał się z słuchaczami we wrocławskim Centrum Historii Zajezdnia. Przyniósł dokumenty, na podstawie których podejmowano działania i wyroki. Po ich lekturze wiadomo, że ludzkie sądy chociaż mają prawo skazywać na śmierć – nie są sprawiedliwe.

Z akt wynika, że polskie struktury państwa PRL-owskiego przetrwały w organach wolnej Polski i powielały kłamliwą informację, że patrioci z Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość byli zdrajcami Ojczyzny. Krzysztof Marszałek, wspominał, że były minuty, gdy ukrywający się ojciec spotykał się z rodziną. On nie miał tej świadomości i bał się, chował się pod łóżkiem przed tym



przebrany, obcym człowiekiem. Wspominał, że przez lata na pytanie o tatę bez wahania odpowiadał: był kolejczarzem, który zginął przed wojną. W ten sposób unikał dyskusji o bohaterskiej postawie ojca w czasie II wojny światowej, która dla władz komunistycznych była zdradą.

Ludwika Marszałka rozstrzelano w 1948 roku. Wcześniej,

między wyrokiem a śmiercią nie pozwolono mu się spotkać z żoną. Zostały po nim wzruszające listy pełne wiary w Boską sprawiedliwość. Prawie trzydzieści lat leżał w zapomnianym wrocławskim grobie. Ekshumacja odbyła się 1977 roku, ale nie doczekała jej ukochana żona Weronika.

Spotkanie z takim świadkiem historii to czas osobistych refleksji.

Czy umiemy dziękować za bezpieczne, dostatnie życie. Czy tworzymy je dla naszych następców? Szczególnie, gdy widzimy jak blisko są miejsca, gdzie toczy się wojna. Czy w czasie wojny umiemy radzić sobie z niebezpieczeństwem? Potrafimy wybierać, to co ważne? I wytrwać przy wartościach mimo wielu zagrożeń i przeciwności.

**Ważne, gdy słowa świadków docierają do młodych ludzi. Zapadają w pamięć. Te słowa powodują, że po latach wracają. Obecnie tak się dzieje w kontekście wojny na Ukrainie, która pokazuje rolę narodu w starciu z totalitarnym państwem i z hedonistycznym kultem jednostkowych postaw z innej strony. Ten czas pozwala wybrać wartości, które będą zmieniały Ojczyznę na lepsze. Aby świat ich pozbawiony, z chwilowymi przyjemnościami kolorowego, ale pustego życia, zmienić w czasami wymagające trudu i poświęceń działania dla dobra wspólnoty i przyszłych pokoleń.**